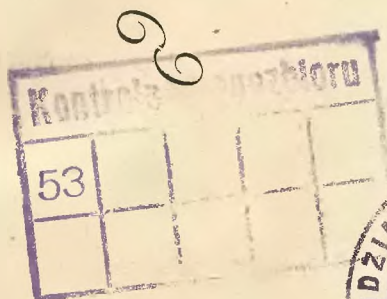


WOJCIECH SKUZA

Wież tworząca...



W A R S Z A W A - 1 9 3 8

**SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
POMOC OŚWIATOWA
WARSZAWA, ul. SENATORSKA 17 m. 26**

CENA 50 GROSZY

**ZARZĄD ODDZIAŁU WOJEWÓDZKIEGO
TOWARZYSTWA UNIWERSYTECKIEGO ROBOCZEGO
W KATOWICACH ul. Francuska 12**

Nr. 366

560

3355/53



L9I4d

8758

/8

170343

II



46. Ks. Zaber.

Bytom

11.12.59. [1.-] m





W S T Ę P

WIEŚ dzisiejsza płonie.

Jeżeli dawniej mógł Wł. Orkan pisać spokojnie „L i s t y z e w s i” — to dziś już z tym samym spokojem nie może pióro pisarza dotykać spraw chłopskich.

Wieś płonie.

Z jednej strony ogarnia ją pożar kryzysu, z drugiej strony do wnętrza każdej wsi wdarły się dziś płomienie czynu, gorącość tworzenia!

Wieś jak w czasie pożaru broni reszty bogactw własnej kultury i z resztek tych stwarza nową kulturę, mocną, gromadną, chroniącą przed piorunami.

Kto w takiej sytuacji zastaje wieś — ten dostaje gorączki tworzenia.

Oby ona udzieliła się wszystkim Polakom!

Książeczka niniejsza nie może (i nie ma ku temu ambicji) podniecić do twórczych wysiłków wszyst-

kich ludzi w Polsce. Ale jedno zrobi na pewno: tym, którzy nie wierzą w twórcze siły wsi polskiej, powie ona wyraźnie: oto są przykłady wysiłków ludzi nieznanych, dajcie tym ludziom warunki a rozśpie-wa się Polska tworzeniem! Tym zaś, którzy w ko-łach młodzieży, w zespołach lub pojedynczo prze-inaczają dzisiejsze życie wsi — powie jedno: w in-nych okolicach już to jest, a u was?

Może ona pobudzi do czynu...

Nie ma w niej niczego, co by się nie działo na wsi naprawdę. Spisałem tylko to, co widziałem i słysza-łem. A jeśli uczyniłem to zbyt ogólnie i powierzch-ownie — wina w tym nie moja, lecz warunków: książeczka ta bowiem powstała w pożarze, w płomie-niu, jaki z dnia na dzień ogarnia nasze życie. W warunkach takich wrywałem się w różne okolice Polski, do wsi, do swoich i spisywałem to, co było godne spisania. Część tych rzeczy drukowałem już w pismach, część wyjąłem z teczki, a resztę porząd-kuje dopiero.

Jeżeli mogę dzielić się dziś tymi wiadomościami ze wsi współczesnej — zawdzięczam to z jednej stro-ny Twórcy Wiejskiego Uniwersytetu Orkanowego, I g n a c e m u S o l a r z o w i, który zwrócił mi uwagę na to jak trzeba patrzeć w środek wsi, w jej dzieje, a z drugiej strony wdzięczny jestem i n ż. Z y g m u n t o w i K o b y l i ń s k i e m u, który ułatwił mi druk tych obrazków.

Powinienem właściwie nazwać tę książeczkę „Listami z płonącej wsi“, bo mi się widzi, że tytuł taki odpowiada i jej charakterowi i zarazem uspra-wiedliwia jej braki.

Kto z pożaru wynosi skarby, ten tylko część
drobną bogactw może ratować, by światu je później
pokazać.

I taką małą cząsteczkę tego, co dziś się na wsi
dzieje, w książeczce tej każdy zobaczy.



TRAGEDIA TWORZENIA



NA WIEJSKICH DROGACH

— „Pieśń, którą tworzy człowiek walczący jest milion razy piękniejsza od śpiewu słowika wielbiącego swe gniazdo“.

TAKIE zdanie usłyszałem kiedyś od działacza społecznego w czasie rozmowy prowadzonej na wiejskiej drodze. Mówił mi o budowie nowej szkoły. Szkoła ta powstawała z wysiłków samej wsi. Majstrowie, którzy ją budowali — śpiewali. Śpiewała i młodzież budująca: nosząca cegły, mierzająca belki i dźwigająca słupy. Młodzież ta — to członkowie Koła Młodzieży.

Świeciło wówczas słońce i szumiał w pobliżu las.

Szum tego lasu dźwigał się skądś z nizin, wychodził z ziemi, z nieznanych gąszczy, jak z masy ludowej, i poprzez pojedyncze konary drzew przeźierał się ku wierzchołkom, ku szczytom, kołysał

je, poruszał, a potem odrywał się od lasu, wychodził naprzeciw słońca i szedł w świat szeroki drogą przez nikogo dotąd nieschodzoną...

Wsluchiłem się w ten śpiew, wsluchiłem się w słowa owego działacza, wpatrzyłem się w ludzi budujących nowy dom, dom, w którym ma stać twierdza walcząca z ciemnościami i buchająca światłem i wówczas zrozumiałem pieśń, którą tworzą ludzie walczący.



Potęźna jest ta pieśń, jak potężna jest w ogóle pieśń mas ludowych. Chodzi mi ino o to, by ona porywała do czynu, do tworzenia, do budzenia, do słońca!

A taką pieśń usłyszysz dziś na wsi każdy, kto stanie na wiejskiej drodze i kto wslucha się w śpiewanie grup i gromadek młodzieży wiejskiej, która wieczorem wraca ze swoich zebrań do domu.

To pieśń tworzącej się nowej wsi i nowej Polski!

A przecież na wiejskich drogach śpiewano dawniej inne pieśni. Pamiętają to starsi, pamiętamy również i my, jak to wieczorami lub w czas niedzielny wychodzili pijacy z karczmy, która stała tu, gdzie dziś stoi szkoła, i — też śpiewali. Zataczali się od jednego rowu do drugiego, wodzili błędnym wzrokiem po polach i śpiewali pijackie pieśni.



A wiatr polny drwił z nich, zakręcał na pięcie, zawijał kurzawy i pędził po polach chichocząc. A w polach pustki ziewały i marudziło spustoszenie.

Później na tych samych drogach wieczorami młodzież, która oto dziś idzie z zebrania, ze świetlicy, wystawała beczynn timer. A że krew w młodych żyłach kipiała, że zapach pól, świeżyzny i żywicy leśnej podniecał, że kusila dal księżycowa, więc nie

dziwota, iż rodziły się tam nie zawsze dla gromady pożyteczne rzeczy: figle, zaczepki, bitki. Rozpisywały się o tym gazety i obcy wsi czytelnik wyrabiał sobie o niej zdanie, które streszczał w jednym słowie: dziczyna.

Drogi polskie wiły się wśród gór i lasów, ginęły gdzieś w nieznanych dalach, hulał po nich ino obcy wiatr, nurzały się w błotach koła i wierzby przydrożne płakały nad dolą chłopską, jak w wierszach

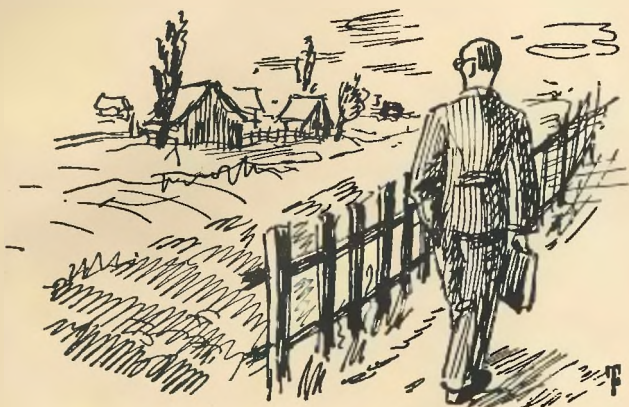


Konopnickiej. A łzy tego płaczu padały spokojnie w błotniste drogi polskie i niby brzozy białe szemrały smutkiem, jak deszcz jesienny.

Przez łzy jednak nikt słońca nie zobaczy. One potrafią rozmazać najpiękniejszy krajobraz, a co najgorsze, potrafią zamazać widok prostych dróg wiodących do lepszego jutra. Drogi te są dla ludzi twórczych, nie opuszczających rąk i nie labidzących, lecz stwarzających lepszą przyszłość dla siebie,

dla wsi i dla Polski. Są one zupełnie jasne, widać je: to wyrównanie, usunięcie bagien i kałuż, osuszenie łąz — to budowanie, twórcza walka!

Dzięki może zrozumieniu tych rzeczy przez młode pokolenie wsi polskiej, słyszy się dziś inną pieśń na wiejskich drogach, piękniejszą i wspanialszą, choć często tragiczną. Nie zawsze bowiem gromada rozumie jednostki, które chcą tworzyć lepszą przyszłość, i nie zawsze jednostki rozumieją też gromadę. W tym tkwi tragedia wyrównania.



Ale o tym jeszcze nieraz będziemy mówili w tej książce. Zostańmy więc już raczej tylko na wiejskiej drodze.

Oto przed chwilą wyrwała się ze szkoły gromadka dzieci. Wybiegły na drogę rozśpiewane, rozkrzyczane. Towarzyszy im książka. Ona, spotykana dziś na wiejskich drogach, jest pieśnią najwspanialszą. Książka ze szkoły polskiej powinna wejść w życie wsi. Nauczycielstwo, ta duża garść młodych ludzi rozrzuconych po wszystkich wsiach pol-

skich, winno pomóc wsi w jej rozczytaniu. Niestety, jak dotąd, stan ten nie jest idealny. Dobrze jest na razie to, że przy wiejskich drogach, tam, gdzie dawniej stały karczmy, dziś stoją szkoły. Stoją już lub się budują.

— A nauczycielstwo? — rzucam pytanie jednemu z nauczycieli, z którym rozmawiam o wiejskich drogach.

— Nauczycielstwo — odpowiada mi on — ma za sobą tradycję. Wśród nas mało jest wprawdzie Judymów, ale w każdej wsi znajdzie pan Siłaczkę!

— To znaczy?...

— To znaczy, że nauczycielstwo zepchnięte na szary koniec elitarnych szeregów, z dnia na dzień, gdzieś na odludziu, w błocie i opuszczeniu, odrabia najpotworniejsze zaległości pańszczyzny. Dźwiga kulturę, by wyrównać w Polsce człowieka z człowiekiem, by dać początki wiedzy, by pchnąć człowieka ku światłu.

— Czy tak czyni ogół nauczycielstwa? — rzucam pytanie mojemu rozmówcy.

Chwila namysłu, a później pada odpowiedź:

— Nie! Nie mogę tego powiedzieć o wszystkich. Bo wielu nauczycieli i nauczycielek „wysferzyło się”. Choć to synowie i córki chłopów, to jednak gdy przyjdą już tu, do szkoły — wychodzą na drogę wiejską wieczorami lub w niedzielę tylko po to, aby się przejść, aby „pospacerować”. Z wielu, bardzo wielu względów między nimi a wsią wykopano przepaść, która nie pozwala na wzajemne zbliżenie. Dlatego często przy drodze wiejskiej stoi szkoła i z jakimś dziwnym smutkiem spogląda na wieś. A wieś przechodzi dogą obok szkoły i spogląda w jej okna jak w jakąś tajemnicę, w coś, co jest obce i zimne.

Albo weźmy, ilu to nauczycieli — synów i córek chłopskich, siedzi dziś w domach bez pracy. Pokoń-
czyli seminaria, szkoły, zniszczyli rodzinę i — dziś
nudzą się, siedzą w izbach, grają na gramofonach
i czekają łudząc się, że może kiedyś przyjdzie „pa-
pierek“ skądś z daleka i każe im iść — tworzyć
i uczyć.

Dziś jednak łążą tylko beczynn timer po wiejskich
drogach!

— Więc co?

— Więc jedni marnują czas na łożeniu po dro-
gach i ścieżkach, a inni...

— Inni co?

— Inni widząc jak wieś dźwiga się, tworzy,
zrzucają z siebie „wysferzenie“, przyoblekają się
w chłopską kapotę i wraz z gromadą młodzieży
tworzą — prostują na wsi człowieka.

— Jak?

— Oto te zmiany, jakie dziś widać na pierwszy
rzut oka w momencie kiedy wejdzie się na wiejską
drogę, dokonały się nie same, ale przez ludzi. Doj-
rzewająca młodzież dostrzegła niewygodę własnego
życia, obudziła się w niej chęć usunięcia tych nie-
wygód.

Dlatego nowy ład dziś widać na wsi.

Skoro wejdzie się na drogę wiejską (a będziemy
w tej książce nie w jednej wsi) dostrzega się te
zmiany.

Czasem tylko, jak przed stu laty, jak przed wie-
kami, po wiejskiej drodze włóczy się dziad, zagląda
do chałup, opowiada o różnych stronach i „cudach“,

a ludzie słuchają. Długo, późno w noc błyszczy światło i rzuca promyki na wiejską drogę.

Albo znów obcy jakiś, nieznany człowiek przywlecze się tą drogą do wsi. Wieś go przyjmie, nakarmi. A kiedy słońce wyjdzie na swoją niebieską drogę — wędrowiec idzie znów w świat.

Czasem przejdzie wojsko, to znów wesele, albo ponury kondukt żałobny, lub ludzki smutek wyjdzie na drogę. Ale wciąż ponad nią chodzi słońce, wciąż szumią wiatry i wciąż z dróg wiejskich płynie ludowa, prosta pieśń.

A obok tej drogi stoją chałupy, stoi szkoła, kościół i duże, potężne topole.

Droga na wsi jest nerwem, jest jej najważniejszym ośrodkiem.

Dlatego o drogi wiejskie musi wieś dbać!





SŁONECZNA DROGA

Po naszej drodze wiatr chodził dawniej i plu-
cha. W wiosenne wieczory i zimowe szarugi, w plu-
chy jesienne i słotne lata rozsiadły się na tej drodze
wielkie kałuże i niby rozpacz i nędza szydziły ze
słońca, co się od czasu do czasu nad wsią z za chmur
ukazało. Łaziło ono ze wschodu na zachód, zakry-
wało się czasem chmurami i mgłą, to znów gorą-
cość siało dookoła, lecz jakoś nigdy nie mogło wysu-
żyć kałuż. Były kałuże i była pustka na naszej
drodze, którą — nie wiem dlaczego — nazwali lu-
dzie „drogą do słońca“, albo „słoneczną drogą“. Mo-
że dlatego, że wlokła się ona ze wschodu na za-
chód — za słońcem, może dlatego, że słońce w ka-
łużach jej topiło swe blaski, a może dlatego, że dro-
gą tą miało przyjść kiedyś słońce do Nadwodzia,
ogrzać ludzi, rozradować ich życie i światłem rozjaś-
nić ciemności! Może... Nie wiem dlaczego tak ją



nazwano, ale wiem jedno: odkąd tylko w pamięci zacząłem notować zdarzenia, drogi tej nigdy zapomnieć nie mogę.

Jeden wypadek, jedno zdarzenie z lat dziecięcych tak głęboko zaryło się w moim sercu, iż po dzień dzisiejszy, ile razy myślę o swojej wsi, o Nadwodziu, zawsze najpierw widzę tę drogę. Wlecze się ona skądś z mrocznych lasów, przechodzi prosto przez naszą wieś i idzie dalej, gdzieś w słońce, w zaświaty. Drogą tą właśnie pierwszy raz w życiu szedłem do szkoły, by z abecadła, a potem z książki i gazet zobaczyć świat inny, lepszy, nieznany ludziom z Nadwodzia. Nie szedłem wówczas sam. Z książką i nowym zeszytem pod pachą szła obok mnie Wikcia z Nadwodzia. Pasaliśmy razem gęsi i krowy na błoniach przez długie miesiące, a kiedy słońce zaczęło coraz niżej wędrować po niebie, zawołał nas ojciec i powiedział krótko: „czas na was do szkoły“! Mówili wówczas niektórzy, że nauka na nic się nie przyda na wsi, lecz ojciec nie zważał na ludzkie gadania. „Tą drogą — mówił — pójdziesz po światło i słońce“!

Odtąd mijały dni, tygodnie i miesiące, a my we dwoje — Wikta i ja — wędrowaliśmy codziennie rano do szkoły, by znów w południe tą samą drogą wrócić do domu. A kiedy minął rok jeden i drugi — tą samą drogą szła nas już spora gromadka. Każdy we wsi chciał uczyć swe dzieci, tak jak mój ojciec i ojciec Wikty. Weselej nam już było w większej gromadce, radośniej i milej. Ale męczyła nas wciąż ta droga. Gdy przyszła wiosna lub jesień, gdy deszcz roztopił kałuże, trza było w błocie brnąć po kostki. Radziliśmy sobie w ten sposób, że najbłotniejsze przejścia zarzucaliśmy gałęziami i po nich szliśmy jak linoskoczki. Patrzyli na to ludzie starsi i śmieli

się z naszej „sztuki“, ale nikt nie pomyślał o tym, by drogę naprawić. Wierzb ani krzaków nie było przy niej, to też wiatr gwizdał i hulał, a pośród tego wichru gromadką parliśmy naprzód. Gałęzie zniesione z daleka na przejścia gniły i nowe trza było przynosić.

Gdy raz w jesienną pluchę po tych gałęziach przeprawialiśmy się (jak linoskoczki) przez więk-



szą kałużę — dał silny wiatr. Akurat Wikta była w połowie kałuży, gdy wicher silniejszy zawiął. Zachwiała się na gałęzi, i nim zdążyliśmy spostrzec co się stało, była już po szyję w wodzie. Podniosła się szybko i wydobyła z błota. Z płaczem wróciła do domu — a wiatr jej książkę rozniósł po polu!

Na drugi dzień Wikta nie poszła już z nami do szkoły. Trzeciego czy czwartego dnia dowiedzieliśmy się, że jest ciężko chora.

Leżała w łóżku, gdy przyszedł do niej i — majaczyła. Szeroko rozwarłe oczy i rozczerwieniona twarz robiły wrażenie człowieka, który w płomieniu zastygł. Lekarza trudno było sprowadzić, no bo „któż taką drogą może się wybrać do miasta?“ Dlatego Wikta wciąż majaczyła. Zrywała się z łóżka, krzyczała, a kiedy matka ułożyła ją i otuliła pierzyną — płakała. W płaczu, w gorączce skarżyła się ludziom i światu całemu, że... „droga do słońca“ jest straszna i ciężka!

— Naprawcie tę drogę!!! — wołała.

A ludzie zebrani przy łóżku kiwali głowami, ten i ów cicho tylko, jakby sam do siebie, szeptał: „majaczy...“.

Tylko ojciec mój i Wikty rozmawiali ze sobą cicho:

— Naprawić trzeba!

— Zasypać kałuże!

— Zasadzić drzewa!

— Ścieżki porobić!

Przyszła zima i mrozy, zamarzła droga, a Wikcia wciąż leżała w łóżku. Po zapaleniu płuc, jak mówił lekarz z miasta, nadeszła kolej na stawy i wreszcie dziwna choroba: wykręciło dziewczynie lewą nóżkę, wykrzywiło okropnie głowę — nieruchoma leżała w łóżku przez długie miesiące. Odwiedzaliśmy ją prawie codziennie, znosiliśmy zabawki, lalki i opowiadaliśmy jej wszystko, co się w szkole dzieje. Kiedy słuchała tych opowieści, kiedy jej śpiewki szkolne śpiewała Rózia, wówczas uśmiechała się do nas. A czasem, ino czasem, ale to rzadko, z oczu po bladej twarzy potoczyły się dwie duże, ziarniste, błyszczące łzy.

Płakała...

Opowiedzieliśmy naszemu nauczycielowi o tym, jak strasznie cierpi Wikcia. Dał nam jakąś książeczkę i kazał wszystkim przeczytać. Była to mała książeczką, w której pisało o tym, jakie to piękne są drogi w Danii, Szwajcarii, w Anglii i Ameryce. Gdyśmy skończyli czytanie, zaczął nam mówić, że i u nas tak samo być może i powinno.



— Skoro starsi tego nie robią, spróbujemy sami! — powiedział, a potem wraz z nami ułożył co trzeba zrobić na drodze, czym i jak doły zasypać, ścieżki porobić, drzewa posadzić.

Kiedy przyszła wiosna — wyszliśmy wszyscy na drogę. Każdy z łopatą lub koszykiem, z czym kto mógł, by zasypywać doły i sadzić drzewka, które już wcześniej sprowadziła gmina. Ludzie starsi powychodzili przed domy i ze zdziwieniem patrzyli na nas.



Aż tu któregoś dnia ojciec mój i ojciec Wikty zaprzęgli konie do wozów i przyjechali do nas. Skądś od granic przywieźli pierwsze kamienie. Na drugi dzień dwóch nowych chłopów przybyło z końmi. Po paru dniach cała wieś wyszła na drogę. Zawrzała praca. Metr po metrze budowaliśmy drogę, zasypywali doły, układali chodniki, sadzili drzewka. Za nami zostawał prosty trakt, suchy i jasny — słoneczna droga!



Po paru dniach poszła naszym śladem wieś druga. A potem trzecia. Przez całą wiosnę i lato rażno i głośno było na drodze. Kiedy przyszła plucha jesienna — spływała z drogi do rowów, a drogą szli ludzie śmiało, kpiąc z roztopów, pluchy i błota.

Szli, jak do wolności!

Minęła jedna jesień, druga i trzecia...

Nadeszła wiosna.

„Słoneczna droga“ zakwitła kwieciami jabłoni. Rozśpiewały się ptaki na drzewach i rozbrzęczały

pszczoly. Gorące słońce radością parskalo w kwiat-
tach i w piasku. Wyszliśmy wówczas wszyscy na
drogę, aby przywitać wiosenne słońce.

Ale oto kiedy brzęk pszczół, radość ptaków,
zapach kwiatów i nasze śpiewania rozniosły się po
wsi całej i po słonecznej drodze — z chałupy Wikty
wyszła jej matka. Stała pod ścianą i zapaską
otarła łzy.

Ucichło nasze śpiewanie.

Kiedyśmy weszli do izby — Wikcia leżała cicha
i blada na białej pościeli. Zamknięte oczy i spokój
na twarzy mówiły jedno: Wikcia umarła...

Kłęknałem wówczas i ze łzami w oczach, a z dziw-
ną dławicą w gardle zacząłem szeptać pacierz.
Była to może pierwsza i jedyna moja modlitwa naj-
szczerza. Modliłem się już wówczas jak najgoręcej
o to, by nigdzie w Polsce i w całym świecie, by w żad-
nej wsi nie było dróg, na które trzeba by kłaść dłu-
gie i wiotkie gałęzie, chcąc się do szkoły dostać.
Kiedy z izby wyszedłem na drogę — słońce już po
niej chodziło.

A gdy trzeciego dnia w niedużej trumnie, błysz-
czącej bielą, jechała Wikcia wozem na cmentarz,
równie się koła toczyły i cudnie pachniał kwiat ja-
błoni...

Odprowadziliśmy ją na cmentarz, a potem „sło-
neczną drogą“ wróciliśmy do swoich chałup.



Wiele już lat od tego czasu upłynęło. Tą samą
drogą nieraz już szedłem w szeroki świat. I wówczas,
gdy pierwszy raz jechałem w świat daleki, do miast

nieznanych, by w szkołach myśl rozwijać i wiedzę zdobywać książkową, i wówczas, gdy z Kołem Młodzieży w pochodzie dumnym szliśmy ze sztandarem czcić wiosnę — droga ta nie była nigdy dla mnie tak prostą i jasną, jak w ten dzień, gdy za trumną Wikci szedłem na cmentarz. W ten bowiem dzień przyszło mi pierwszy raz na myśl to, iż całe życie trzeba oddać dla tej najpiękniejszej pieśni, której słowa są proste:

Kiedyż na słonecznej drodze nie będą
więcej ginać dzieci chłopskie?!...





TEATR W MARKOWEJ

DROGA do Markowej jest dobra. Do wsi można dojechać od pociągu albo z Łańcuta, albo z Przeworska. Kiedy właśnie dojeżdżałem drogą z Przeworska, musiałem zatrzymać się w Gaci. Gać i Markowa — to dwie wsie z sobą sąsiadujące i wiecznie spode łba na siebie patrzące. To, co zrobi dobrego u siebie Gać, jest przedmiotem zazdrości Markowiaków — i na odwrót. Tak tam już jest od lat. Od niepamiętnych czasów. Dziś dopiero nastąpiło wyrównanie: obie wsie mają się czym szczycić. Gać ma Wiejski Uniwersytet Orkanowy — Markowa ma dobry teatr i pierwszą w Polsce „Spółdzielnię Zdrowia“. Ani jednak Uniwersytet Orkanowy, ani „Spółdzielnia Zdrowia“ nie stały się dziełem jednej tylko z tych wsi. Udział w tworzeniu tych wielkich spraw brała i okolica, a nawet cała wieś polska. Ale jak w każdej wsi, tak i w Mar-

kowej jest coś, co powstało tylko wysiłkiem samych Markowiaków, mianowicie teatr.

Kiedy pierwszy raz od strony Przeworska jechałem do Gaci, uderzyła mnie jedna rzecz: przy drodze, między Dębowem a Białobokami, stoi niewielki kopiec porośnięty starymi drzewami.

— Co to? — pytam furmana.

— To Tatar — słyszę odpowiedź.

Tatar? Cóż to znowu?

— A to — opowiada mi — dawniej, bardzo dawno, kiedy na Polskę napadli Tatarzy, tu zginął ich han.

— Ach, więc to pamiątka!

— Druga taka pamiątka — mówi mi furman — jest w sąsiedniej wsi, w Nowosielcach. Tam dziś już stoi kopiec. Chłopi uczcili bohaterstwo Michała Pyrza, wójta z Nowosielec, który przed Tatarami obronił wieś.

— O! — wołam — to tam, czerwone na górze! Czy to może...

— Tak, to właśnie Uniwersytet w Gaci.

Wysiłkiem samych chłopów stworzony. To pomnik dzisiejszego, już nie walczącego z Tatarami pokolenia chłopów polskich.

Jadę drogą i myślę: więc chłop polski tak głęboko i tak wysoko wznosi i umacnia swe twierdze duchowe, że aż poprzez wieki widać, iż on nie tylko żywi i broni, ale równocześnie tworzy? Więc tak potężna siła drzemie w tej jednej okolicy? To coś dopiero mówić o tej sile, która przywarła do ziemi całej Polski!

Skąd ta siła?

Kiedy dojeżdżałem pierwszy raz do Markowej, dziwny jakiś niepokój chwycił mnie za gardło: coś dusiło. Co?

Tyle czytałem już o tej okolicy, o Uniwersytecie, o Spółdzielni Zdrowia, że zaniepokoiłem się, czy przypadkowo nie przereklamowano tej wsi. Był to lęk podobny do tego, jaki ogarnia człowieka, o którego kochaniu zbyt wiele ludzie piszą. W takim wypadku czuje człowiek bliskość zawodu i zdrady. Wiem przecież, że często już chwalono, wielbiono i opisywano wieś jako raj, a dobrze to pamiętam, że tam — jakby powiedział Szewczenko — poznałem piekło. Nędza i przygnębienie włości się po każdej wsi tak niemiłosiernie, jakby tylko tam, na wsi, upatrzyła swe siedlisko.

Gdzie znajdziecie tyle dzieci obdartych i bosych, jak nie na wsi? Gdzie spotkacie — jadąc drogą — takie białe główki przyklepione do okien, z rozwartymi oczami, w których usadowiła się tęsknota za czymś lepszym? Gdzie je spotkacie, jak nie na wsi? A gdzie spotkacie ten ponury, szary i przygnębiający obraz naszych domów, wtulonych w drzewa i patrzących w świat beznadzieją? Gdzie spotkacie rozmowy pełniejsze, pragnienie chleba, lepszych czasów, sprawiedliwości, jak nie na wsi? Gdzie tak jest jeszcze? Gdzie?!

Wynajętą furką jechałem właśnie z Przeworska do Markowej przez Gać i Studzian. Błoto było okropne. Padał deszcz. Taka szaruga rozwlokła się po polach, iż zdawało mi się, że świat zastygł w beznadziei. Tylko niebo wciąż nad nim płacze. Przyklepione do okien białe główki dzieci ciekawie patrzyły na kogoś, kto śmie w taką chlepe wlec się gdzieś

naprzód. A może to zwiastun czegoś nowego? Może nadzieja? Chyba nigdzie tak nie ciekawią się ludzie obcą furą, jak na wsi. Człowiek wiecznie czekający na coś co przyjdzie, nawet na furę spogląda inaczej niż ten, który chce, by świat pozostał taki jaki jest. Znam to uczucie dobrze, bo pamiętam, jak przez naszą wieś jeździli różni obcy ludzie, a ja zawsze cze-



kałem, aż przyjdzie kiedyś ktoś, kto mnie wyrwie z tego piekła i wyprowadzi na jakąś słoneczną, piękną drogę.

— Dokąd? — zapytał jakiś człowiek chłapiący po błocie.

Furman coś odmruknął, podciął konia i ruszył szybciej. Trąciłem go w ramię.

— Halo! — krzyknąłem — niechże pan poczeka. Może ten człowiek chce przysiąść?

— Nie może, ino pewno — burknął filozoficznie furman. — Ale co mnie to obchodzi! Diabli zresztą wiedzą kto to jest.

— Ludzi się boicie?

— Panie, to przecie nie strach, ale zawsze lepiej ostrożnie. Mało to teraz po wsiach wypadków!

I słyszę opowiadanie o tym, jak to w sąsiedniej parafii napadnięto na księdza, jak to kiedyś na tej samej drodze, pod Studzianem, przysiadł jakiś człowiek do jadącego i... obrabował go zupełnie.

Wtuliłem się w burkę mocniej i... już nie zatrzymałem furmana.

Był wieczór, gdy dojechałem do Markowej. W oknach tliły się małe, naftowe lampki. Na drodze szemrał deszcz...



Markowa jest taką wsią, jak wiele innych w Polsce. Większa tylko może, niż przeciętna wieś. Pięć tysięcy mieszkańców — to nie byle co! Różnica więc tylko w liczbie, wewnątrz wsi jednak takie samo życie, jak i gdzie indziej, po innych wsiach. Dlatego to, co piszę o Markowej, odnosi się do wsi polskiej w ogóle. W Markowej jest kościół, plebania, jest szkoła, są dwa sklepy Kółka Rolniczego, jest Koło Młodzieży, Stowarzyszenie Katolickie, są przedstawiciele prawie wszystkich partij politycznych: od endecji do socjalistów. Jest poza tym Dom Ludowy i są chałupy odgrozione od siebie płotami i miedzami. Ale w ostatnich czasach coraz częściej przez płot lub miedzę sąsiad przechodzi do sąsiada i coraz częściej pada pytanie, dręczące całą wieś polską:

Czy będzie kiedy lepiej?

Na to pytanie nikt odpowiedzi jasnej znaleźć nie może. Dlatego Markowiacy starają się sami sobie odpowiedzieć. Był czas, że to pytanie padało w próżnię. Starzy ludzie, przyzwyczajeni do pańszczyzny i do tego, że ktoś tam już gdzieś w górze będzie myślał za nich i budował inne życie, kierowali się starą zasadą: „ojciec mój i dziad orał i siał, a niczym więcej się nie zajmował, to i ja tak będę“. I nie zajmował się niczym i biła go bieda. A literatura szlachecka i mieszczańska opiewała: „boży ludek“, — jako takie cacane, pstre malowanki, zabawki i szopki. Mówiło się dużo o prostocie, o pięknie wsi, o ładnych strojach, o pięknych tańcach, ale zapominało o człowieku.

I przyszły nowe czasy, przyszło nowe pokolenie chłopskie i... upomniało się o siebie, o swoje prawo do życia i prawo do tworzenia nowych wartości.

W Markowej przed paru laty powstało Koło Młodzieży. Stało się to tak zwyczajnie, jak i w innych wsiach: młodzi ludzie, którzy dawniej niedzielne popołudnia i codzienne wieczory spędzali beczynnie, na figlach, któregoś dnia orzekli:

— Dość beczynności! Dość naszej ciemnoty i poniżenia! Nie możemy się kształcić w szkołach, nie stać nas na gimnazja i uniwersytety, to sami uczyć się będziemy z książek i gazet!

— Trza wyrównać nasze życie!

— Niech w nim nie będzie „góry“ i „dołu“, niech sprawiedliwość zapanuje na świecie!

Od tych słów, od tego dążenia do wyrównania świata, zaczynało się każde poczynanie na wsi. Tylko... jeżeli różnego rodzaju „opiekunowie ludu“

tęsknotę ową wykorzystywali dla swoich celów, to dziś młode pokolenie wsi ową tęsknotę postanowiło wykorzystać dla siebie, dla wsi. Dlatego rozpoczęła się od paru lat na wsi wysiłona akcja w kierunku: z jednej strony walki z siłami gnębiącymi wieś i dźwigania wsi ku wyżynom, a z drugiej strony wykazania światu wartości zrodzonych na wsi. Dlatego nawrócono do czasów dawnych, dlatego wyszukano rodowód wsi w czasach słowiańskich, w tych czasach, kiedy na ziemiach polskich żył wolny kmiotek w wolnej gromadzie. Poddano rewizji historię Polski szlacheckiej i przystąpiono do tworzenia nowej Polski, ludowej, opartej na wartościach własnych, zrodzonych na wsi. Oczywiście w takich warunkach wszystko co zacofane, pragnące wieś widzieć nadal jako „potulne stworzonko“, stanęło tamą w poprzek poczynaniom młodzieży. Tak było i w Markowej.

Kiedy powstało Koło Młodzieży — znaleźli się ludzie, którzy wyklinali młodzież, wyzywali ją od „wywrotowców“, „bolszewików“ itd. Ten i ów przestraszył się, wycofał, jednak ogół młodzieży wytrwał przy swych zamierzeniach.

Zaczęło się od rozśpiewania. Markowa przejechała tandetę kulturalną, płynącą z miasta na wieś. Koło Młodzieży wygrzebywało stare pieśni ludowe, stare nuty i tańce...

— Po co to? — pytam jednego z Kołowców. Przecież przeszłość już minęła. Nie możemy wracać do starodawnych czasów.

— Tu nie o to chodzi! — słyszę odpowiedź — nie chodzi o nawrót do przeszłości, ale o marsz w przyszłość. Za długo człowiek na wsi nie wierzył

w siebie, poniewierano jego pracą i co najwyżej, bawiono się jego kulturą. Dlatego dziś musimy pokazać sobie i światu, że wieś ma przeszłość za sobą, ma swoją historię kultury. Trza ją znać, by budować nową.

Jakoż z Markowej rozlega się pieśń stara, ludowa. Ale oprócz tego Koło Młodzieży posiada dużą bibliotekę. Kilkaset tomów książek wyborowych.

Zaczęto czytać. Najpierw gazety, potem książki. Najpierw w zespołach, potem pojedynczo. Dziś już Markowa czyta nie tylko „książeczki dla Bożego ludka“, ale spotyka się u ludzi Micińskiego i Wellsa, Szekspira i Tetmajera, Orkana i Kruczkowskiego.

Markowa jednak nie z czytelnictwa słynie. Głośno jest o niej w całej okolicy z dwóch przyczyn: głośny jest teatr w Markowej i ostatnio założona Spółdzielnia Zdrowia.



Jakież są dzieje teatru?

Oto w Markowej żył młody, energiczny i utalentowany poeta, Antoni Balawaider. W pismach młodzieżowych przewijały się często jego utwory podpisywane pseudonimem „Wojtek Trąba“. Zaczął on pierwszy wraz z Mietkiem Fleiszarem organizować Koło Młodzieży. Rozpoczęli od skrzyknięcia się w kilku. A potem przyszło budzenie całej wsi.

Jak? W jaki sposób?

Wojtek Trąba zaczyna pisać wiersze, opowiadania i sztuki sceniczne. Urządza w Markowej, w swojej wsi, wieczorki artystyczne. Pomaga mu Fleiszar. Zwykłe wydarzenia na wsi stają się te-

matem tych wierszy. Nimi szarpie, budzi, rusza wieś. Oto zdarzyło się, że dzieci we wsi zniszczyły na drzewach gniazda ptaków. Przychodzi do domu Wojtek Trąba, myśli o tym wydarzeniu długo i — pisze nowelę. Nowelę tę zatytułował: „Sroczę gniazdo“.

Przedstawił w niej życie ptaków w gnieździe, ich pracę i wysiłek, ich trud w tworzeniu. Wprowadził również do tej noweli bezczynne dzieci. Każe im się bawić, figlować i spędzać dzień na próżniactwie. Któregoś dnia znudzone zabawą dzieci wymyślają nowość: kijami, długimi patykami, niszczą gniazda ptasie. Lecą małe pisklęta z wrzaskiem na ziemię, dźwigają główki, chcą żyć! Bez matki jednak, bez opieki, giną w opuszczeniu.

Nowelę tę Wojtek Trąba czyta ludziom na wsi.

— Rany Boskie! A dyć tak było u nas! — woła jakaś kobieta.

— Bójcie się Boga! Jak to cierpi ptaszyna!

A dzieci słuchające tej noweli otwierają szeroko oczęta. Łzy widać w tych oczach. Łzy te toczą się powoli po twarzy, bo oto w małych serduszkach rodzi się współczucie, litość dla ptaków, a równocześnie pytanie: a cóżby się stało, gdyby tak jaki smok naszą zniszczył chałupę?

Odtąd dzieci nie niszczą gniazd.

Ale Wojtek dopiero teraz widzi, ile to może na wsi zrobić sztuka. Słowo pisane i mówione. A przecież w Markowej, wysiłkiem całej wsi wybudowany stoi Dom Ludowy. W domu tym jest scena. Wolna scena. Grywano na niej dotąd takie sztuczki, jak

Anczyca „Chłopi arystokraci“, grywano „Żyda w beczcze“ i in. Byle był zarobek, „byle handel szedł“.

Nie! — woła w jednym z artykułów Balawaidier — nie! Teatr u nas musi być ogniskiem naszej kultury i naszych spraw! Dość już mamy obcej tandety!

Dlatego, gdy zaszedł nowy jakiś doniosły wypadek na wsi — opracowano go, pokazano drugi raz ludziom. Ale teraz na scenie.

Oczywiście na wsi zawrzało. Zaczęto opowiadać sobie o tym wypadku, omawiać go, oceniać. W szarżyznę życia wiejskiego wdarł się jakiś problem.

Na wsi coś się stało.

Ale, by naprawdę coś we wsi się stało, muszą ludzie najpierw odczuć tego potrzebę. Trza naumyślnie, w sztuce pokazać ludziom życie, by wzbudzić w nich ludzkie czucie, by wzbudzić w nich ludzkie pragnienia, dążenia do lepszego życia, do innych warunków.

Na wsi nie brak młodszych ludzi, takich, co to potrafią doskonale pokazywać w różnych „figlach“ życie „naumyślnie“. To urodzeni artyści sceniczni, tylko że nie mają gdzie i w czym pokazać swego talentu. Płatają więc różne figle po wsi. Naśladują innych, przedrzeźniają ich itd., itd. Trzeba użyć ich na scenę!

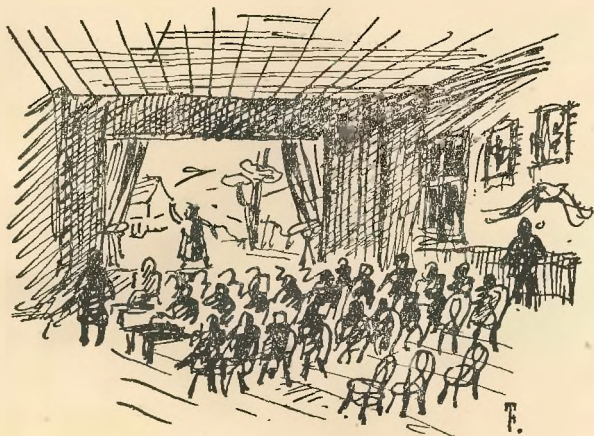
Zagrano pierwszą, drugą i trzecią „sztukę z głowy“, sztukę zbudowaną na tematach z własnej wsi. Poszło. Było zainteresowanie. Wobec tego...

— A no, różne. Od „sztuk z głowy“ poprzez Szekspira, Słowackiego, Kruczkowskiego do Żeromskiego.

— Jakto? Te sztuki?

Widzę, że mój rozmówca rozumie moje zdziwienie.

— Nie dziwcie się — mówi spokojnie — wieś może albo sama wymyślać sztuki na scenę, albo gdy



już odtwarza, to tylko rzeczy najlepsze w światowej literaturze. My mamy już dość szmoncesów!

— No, dobrze. Ale technicznie jakże dajecie sobie radę?

— Ot, w tym właśnie leży tragedia dorównania teatrom miejskim. Ale i z tym dajemy sobie radę.

— Jak?

I oto słyszę opowieść o tym, jak budowano scenę, jak organizowano kulisy, jak sprowadzono przyrządy techniczne, konieczne w teatrze, jak to na każde

przedstawienie, bywają sprowadzane kostiumy aż ze Lwowa itd., itd.

— Ważną jest dla nas jedna rzecz — mówi Fleiszar — mianowicie to, że mamy paru aktorów i aktorów urodzonych wprost na scenę. To wielkie talenty, które się jednak marnują.

— Jakto?

— No, bo cóż z tego, że we wsi, tu u nas, ludzie ich znają. Oni chcą pokazać całej Polsce swój talent. Ba, ale któż w Polsce uwierzy, że na wsi są talenty sceniczne!

Ja uwierzyłem, gdy byłem w Markowej na przedstawieniu „Turonia“. To poziom najwyższy i gry aktorów i reżyserii. Byłem przecież na „Turoniu“ w Ateneum w Warszawie, lecz może poza grą samego Jaracza, niczym więcej ta sztuka nie stała wyżej niż w Markowej. Nawet niektóre sceny zbiorowe mocniej wypadły. Czuć było, że aktorzy żyją własną grą. A ile razy przypominę sobie grę Karolki Cetnarówny — zawsze przychodzi mi na myśl, że gdyby w mieście, np. w Warszawie, taka aktorka wystąpiła, na drugi dzień wszystkie pisma by o niej bębniły. Uroda, wdzięk, dykcja, pewność i opanowanie ruchów, odwaga wspaniałej gry, werwa, wycie się w sztukę, zrozumienie jej i odczucie — to rzeczy, które wprost fascynują, gdy patrzy się na grę tej aktorki. A inni niewiele się różnią od niej! I cóż? Cisza... Wprawdzie zagrano później inną sztukę w Przeworsku i w Łańcucie, i choć miały one większe powodzenie niż sztuki grane przez różne teatry wędrowne, prowadzone przez „zawodowych“ aktorów zajeżdżających na prowincję, to jednak oprócz tych miasteczek i wsi okolicznych nikt poza

tym w Polsce nie wie nie o wielkich talentach sceniczych...

Ot, wieś marnieje i tyle!

Marnieje? To niepotrzebne słowo. Markowa działa na okolicę. A teatr w Markowej ożywia całą wieś. Może to nawet i lepiej, że dzieje się to tak bez reklamy i szumu. Na małym odcinku, u siebie i wśród swoich dźwigają się ludzie. I może właśnie byłoby źle, gdyby znów jakiś „opiekun“ zjawił się w Markowej i wyrwał ten talent ze wsi. Za wiele już mamy tych wypaczonych ludzi wiejskich, którymi miasto wciąż chciało się opiekować. Uczyniło z nich zmanierowanych ludzi.

Dlatego dobrze jest, że wieś wśród siebie ma swoje talenty. One bowiem stwarzają nowe wartości kulturalne i one dźwigają wieś. One też dają początek nowemu teatrowi wsi. Dotychczasowy bowiem teatr był tylko nieudanym naśladowaniem miasta. A taki teatr jest wsi niepotrzebny. Wieś wychodzi z nową formą widowisk: stwarza je sama, wysila się na pomysły nowe lub ożywia dawne, zwyczajowe widowiska. Z teatru miejskiego bierze technikę. Tak wyrównywa się... Wyrównywa się „dół“ z „górami“.

Ale nie zawsze...

Bowiem tragiczniejszą od warunków kulturalnych jest nierówność gospodarcza. Ona to gubi i ludzi i talenty. Przykład wyraźny, to życie Wojtka Trąby. Sam robił wszystko co mógł. Szarpał się i rzucał na wszystkie strony, byle tylko stworzyć coś na wsi. Ale nie wytrzymały jego siły. Złe odżywianie, ciężkie życie, praca i brak higieny spro-

wadziły gruźlicę. Nie było za co się leczyć. Nie było za co jechać gdzieś w góry, do sanatorium. Dlatego mimo pomocy przyjaciół — zgaś młodo. Zmarł na gruźlicę. Ubył jeden z tych, którzy poruszyli, pobudzili wieś do tworzenia. Dlatego nad jego grobem zaśpiewano pieśń, którą gromada przyjaciół ze wsi stworzyła. A pieśń ta jest inna od wszystkich pieśni pogrzebowych — „Markowska pieśń“, a Markowiaci wiedzą, że po ich śmierci znów przyjdą inni i znów stworzą nowe pieśni, i tak rósć będzie nowa kultura, zaczęta tam, na wsi.

Tragiczna to jednak pieśń tworzenia i tragiczniejsza pieśń wyrównania...

Nie wszyscy ją dziś w Polsce znają i nie wszyscy czują. Dlatego rósć ona musi tylko po wsiach i tam przez wieki, jak ów pomnik Pyrza, jak gmach Uniwersytetu na Górze Gackiej, świadczyć o życiu ludzi w gromadzie wiejskiej.

Takie są prawa tej gromady!





MUZEUM I NOWA PIEŚŃ

NIEPRAWDA jest, by chłop był niezaradny. To siewcy zacofania odebrali mu broń postępu: odcięto wieś od wszelkich zdobyczy cywilizacji po to, by później wrzeszczeć, iż chłop nie może kierować Polską, bo tkwi w ciemnocie, bo niezaradny itd. — Takie zdanie usłyszałem z ust prezesa Koła Młodzieży w **C h o d a k ó w c e** (pow. łańcucki).

Rozmawialiśmy w dziwnym miejscu. Mianowicie w izbie ustrojonej w ludowe motywy dekoracyjne. Przed nami stała zwyczajna, z desek prostych zbita paka. Na wierzchu rozpierał się kulawymi literami wypisany napis: „**M u z e u m w s i C h o d a k ó w k a**“.

— To słynne Muzeum? — pytam.

— No, słynne ono nie jest — słyszę odpowiedź — wie przecież o nim tylko nasza wieś i okolica. W świecie, a nawet i w Polsce nikt o nim nie wie, jak

nikt nie wie o pojedynczej wsi. A przecież każda wieś polska ma swoją historię. Trzeba ją wyciągnąć na wierzch! Trzeba pokazać sobie i ludziom dzieje wsi! Ona nauczy nas szukać dróg do Polski ludowej.

I nic to, że krwią i potem te dzieje ociekają, i nic to, że położyły się one na drodze Polski, jak ów „kamień żarnowy“ i że potknęło się o nie szczęście naszego kraju. Nic to!

W tych prostych deskach, tu, w tej pace, są tylko dzieje jednej wsi. I one nas uczą którądy droga do wyzwolenia! Gdzie wyrównanie!

Zaglądam do wnętrza i co widzę? Na pierwszej półce od dołu grube zwoje papieru. To spisane dzieje wsi Chodakówka. Należała ona kiedyś do pana Korniakta czy Potockiego. Zamek pański górował nad nią, a w chałupach kurnych i dymnych rodził się przesąd, zabobon, wiara w czarownice, w „zmory“. Oto po dzień dzisiejszy krąży legenda, że jakaś dobra pani chodziła po wsi i rozdawała łyży ludziom, by ulżyć im w płakaniu. Jak się człowiek wypłakał — lżej mu było. Dlatego zanotowane śpiewki z tej wsi mają w sobie tyle łez i płaczu.

Pani ta przyszła do wsi jakimś dziwnym, tajemniczym podziemnym korytarzem, który łączył Łańcut z zamkiem w Chodakówce. Korytarz ten — wierzą ludzie — jest po dzień dzisiejszy, a w nim jakieś skarby ogromne. Ale trafić tam nikt nie może. Tylko gdy się uderzy w ziemię, słyszać w jej wnętrzu echo. To głos podziemi mówi o skarbach zaklętych.

Zamek zburzył — jak jedni mówią — „diabeł“ Stadnicki, inni twierdzą, że zniszczyli go Tatarzy.

Tak czy owak, dziś już zboża rosną na tym miejscu, gdzie dawniej szlachcie w złocistych pałacach kłaniał się damom w polonezie. Z zamku tego tylko resztki zostały w chłopskim muzeum: jakiś klucz, lichtarz, monety, jakieś kamienie rzeźbione i... wreszcie kule armatnie.

Na drugiej półce leżą spisane wierzenia dawnych ludzi, a więc: że czarownice chodziły po wsi i o tym, czym się można było przed nimi obronić. Podobno człowiek przed „złym“ mógł się tylko schować do ziemi itd., itd. Wśród tych arkuszy widzę książkę Józefa Putka: „Mroki średniowiecza“.

Na trzeciej półce okazy dawnych chłopskich narzędzi kuchennych i domowych, oraz spisane zwyczaje i obrzędy tej wsi.

— Po co to?

— Słuchajcie! Oto w naszych dawnych obrzędach i zwyczajach jest tyle pięknych rzeczy, że należy je ino odgrzebać, dać im dzisiejszą formę, uwspółcześnić je, a życie nasze znów się odświeży!

— Jak?

— Proszę. Istniał dawniej po wsiach zwyczaj, który nakazywał pomagać w budowie temu, kto nową stawiał chałupę. Zjeżdżali się wówczas sąsiedzi, zwozili drzewo, ciosali, pomagali majstrom, i to wszystko za poczęstunek, w tym przekonaniu, że „dziś tobie, jutro mnie, bracie!“

Z nową cywilizacją, a raczej z tandetą kultury mieszczańskiej, ze strojem, tangiem, foxtrottem i krawatką przyszła i nowa moralność: „zdechnij, albo rób sobie sam jak chcesz!“. Kto tak myśli i tak robi, tego już miasto uważa za człowieka współczesnego, zaradnego, za „Amerykanina“.

Lecz chłop nie może żyć poza gromadą. Dlatego w gromadzie zawsze szukał pomocy, szuka i będzie szukał.

— Czy znajdzie?

Zamiast odpowiedzi słyszę, jak gromada wspólnymi siłami wybudowała szkołę, jak rozwija się sklep spółdzielczy, jak co niedziela zbierają się wszyscy i tu, w tej izbie, gdzie przeszłość zamknięto w deski, jak w trumnę — mówią ludzie o agraryzmie, o nowym ustroju spółdzielczym, o walce z zacofaniem, o tępieniu zła, o charakterze ludzkim, o wartościach wsi, jej nowych drogach itd., itd.

Przeszłość zamknęła wieś w deski po to, by nową budować wieś i nową Polskę!

Widzę zaczątki tej nowej Polski w innej wsi, w K r a c z k o w e j (pow. łańcucki). Jak w każdej wsi, tak i w Kraczkowej żyli dotąd ludzie odgrodzeni od siebie miedzami i płotami, umierali, rodzili się, wierzyli że ktoś kiedyś przyjdzie gościńcem szerokim i wywiedzie wieś z niewoli, udręki i poniżenia, że ktoś kiedyś wyrówna tę przepaść, jaką zaległa między biedakiem a bogaczem. Nikt jednak się nie zjawiał. Tylko na wsi ponieważ rali się ludzie i żyło wciąż pragnienie zrównania świata.

To wieczna tragedia wyrównania.

Aż przyszło młode pokolenie chłopskie. Płacz zamieniło na walkę, narzekanie na pracę, a tęsknotę za kimś nieznanym — na wiarę w siebie!

Wśród tego pokolenia tam, w K r a c z k o w e j, jest majster murarski, młody chłopak o silnym wyrazie twarzy i oczach głębokich. Nazywa się Możdżeń. Jest on mało znany w okolicy. Wiedzą ludzie, że siedzi tam gdzieś w Kraczkowej i widzą go czasem

na zebraniach. Jest działaczem w Kole Młodzieży. Ale takich jak on jest więcej w każdej wsi, dlatego na niego specjalnie nikt nie zwraca uwagi. A oto okazuje się, że Możdżeń jest wynalazcą i to nie byle jakim! Nie dawno wynalazł on nowy typ dachówki, podobno tak dobrej, jakiej dotąd nie było. Oprócz tego wynalazł nowy typ piecyka. Mały kaflowy piec, który zupełnie łatwo można przenosić z miejsca na miejsce.

Ale te wynalazki Możdżenia nie zadawałają.

Chciał wynaleźć ważniejszą rzecz: lekarstwo na biedę chłopską. A bieda największa — to budowanie. Lasów dookoła brak, drzewo drogie, a tu wciąż wałęsały się domy. Co robić? Jak radzić? Myślano nad tym długo, aż Możdżeń sięgnął do muzeum, do przeszłości wsi, do starych zwyczajów chłopskich. I znalazł sposób na zaradzenie złu...

— Jeżeli dawniej — mówi mi Możdżeń — jeden drugiemu mógł pomagać w stawianiu chałupy, to dlaczego tego zwyczaju nie mamy wznowić?

— Lecz jak?

— Nie na dziko! Lecz tak, jak się dziś wszystko gromadnie robi. Trzeba stworzyć „Spółdzielnię budowlaną!“

— Co?

— Spółdzielnię, do której przystąpi cała wieś. Z udziałów i składek zbierze się kapitał. Jeżeli komuś spali się dom, lub nowy musi budować, wówczas zarząd spółdzielni zakupi drzewo, wynajmie majstra, a członkowie spółdzielni dadzą robociznę. Dniówka liczyć się będzie jako wkładka członkowska. Jeżeli komuś wybudują dom — z kolei on znów kiedyś drugiemu itd. Tylko... że dziś budowaniem kierować

będzie komisja budowlana, złożona z członków spółdzielni. Ona to zaplanuje styl, rozmieszczenie, parkany, jednym słowem połączy piękne z pożytecznym.

Przyznaję, że kiedy słuchałem tych słów, gdy przeglądałem statut spółdzielni, kiedy widziałem wiarę gromady w tę nową formę pomocy — jakiś potężny głos targał mną całym: to tyle twórczych sił na wsi polskiej, a Polska wciąż tak płacze? Czemu to?! Czemu??!

Bo nikt nie widzi tych sił, bo nawet władze nie wiedziały, jak zarejestrować taką spółdzielnię, bo to... ani rolniczo-handlowa, ani spożywcza, ani zarobkowa...

Więc jaka?

Człowiecza! Gromadna!!

Taką pieśnią przemawia dziś wieś do Polski i taką pieśnią chce tworzyć nowe życie.

Polsko! — nie odtrącaj tej pieśni...





ŚMIERĆ MARYNY

PRZEZ pola szła mokra, zimna i wietrzna jesień. Rozłożyła się na drogach i ziewała mgłami, co wylażyły z dolin i wlokły się het — w zaświaty.

Była noc.

Do okna Maryny przylepiła pysk zimna plucha jesienna i, niby wieczne ludzkie zmartwienie, stała tam, w ogrodzie.

Maryna leży w łóżku i wpatruje się w ową ciemnię, w tę noc tajemniczą, i wsłuchuje się w rzegot nagich drzew ponuro mówiących o zimie. Maryna zna te wszystkie drzewa. Pamięta je dokładnie i wie nawet gdzie i jak które stoi w ogrodzie. Jeszcze przecież jako dziecko biegała wśród nich i rwała jabłka, gruszki i śliwy, a kiedy ojciec wracał z pola, niosła w zapasce świeży owoc mówiąc: weźcie, tata! Pamiętała je i z tych czasów, kiedy trzeba było drzewa obierać z gąsienic, kiedy trzeba

było okopywać je, pobielać wapnem, a wreszcie, gdy trzeba było je, małeńkie wówczas jeszcze i słabe — przywiązywać do pali, by pewniej opór stawiały wiatrom.

A wiatr w Nadwodziu, jak ludzka nędza, jak zło człowiecze, hulał wśród drzew, targał je, łamał i wył z radości. Pamięta przecież Maryna: często na wiosnę, w lecie, w jesieni lub w zimie wyrwał się skądś z zaświatów potężniejszy wichur i niby szatan rozniewany napadał na drzewa. Ale sad ojca Maryny, odgrodzony płotami od innych sadów, przechylał się ino pod naporem wichru, zginał się nieco, stękał, ale prostował zawsze kark.

— Czemu to, czemu? — myślała Maryna.

W ogrodzie stały drzewa jedno obok drugiego. Gdy wiatr mocniejszy uderzył w ogród — drzewa jakby rozumiały potęgę gromady, podawały sobie konary, jak ludzie ręce w nieszczęściu i razem, w gęstwinie tworzyły moc, o którą musiał zły wiatr łeb rozbić. Dlatego ile razy uderzał w ogród — zawsze padał z bolesnym jękiem na ziemię.

Tylko jedna, jedyna jabłoń, stojąca poza płotem, już prawie na łące, samotna, cierpiała wciąż najwięcej. Wiatr, jakby wściekły, że oto rady dać nie może gromadzie — uderzał w jabłoń samotną, targał ją za włosy, szarpał nią, rzucał i tańczył obok niej jakiś piekielny taniec radości.

Raz — pamięta to Maryna dobrze — kiedy w gałęzie samotnej jabłoni wdarł się ten wiatr, jęczała jabłoń, broniła się i rzucała na wszystkie

strony, ale oto gdy odrzuciła od siebie zło i wyprostowała się, nagle...

Wrzasnęła okropnie, przeraźliwie...

Kiedy Maryna spojrzała przez okno, zobaczyła już leżącą, rozdartą jabłoń. Świeciła nagością ciała.

To wiatr tak stargał samotnicę.



Odtąd na miejscu jabłoni kwitną kwiaty i rosną zieleń łąkowe. Bo oto przyszli po wietrze ludzie, łopatami wydarli z ziemi korzenie, zasypali dół i pustka odtąd usiadła na tym miejscu. Nawet śladu nie pozostało z jabłoni.

Czyżby i z ludźmi tak? — myślała Maryna. Ale oto nagle myśl jej przerwał ból tępy, nieznosny, okropny. Zdawało się Marynie, że oto wicher jakiś potworny wdarł się do jej wnętrza i szarpie trzewia, łamie kości, rozszerza, gniece...

— Jezus! — krzyknęła.

— Ci-i-cho, Marysiu, ci-i-i-cho — uspakajała chorą starą Agnieszka, sąsiadka Maryny. — Widzisz, Marysiu, każda z nas tak cierpieć musi, to życie już takie...

Maryna jednak coraz okropniej, coraz boleśniej jęczała.

Stara Agnieszka wybiegła na chwilę. Do izby weszły inne kobiety.

— Co jej to? Nie ma jeszcze akuszerki? A kiedyż on po nią pojechał? — pytały.

— W południe, w południe pojechał, ale to kawał drogi, a może w domu nie zastał...

Maryna uspokoiła się trochę. W izbie zalegała cisza i tylko z za okien słychać było miarowy rzegot konarów. Maleńka lampa, stojąca na stole, błyszczała blado i słabo oświeślała mrok.

Za oknem szemrał wciąż wiatr.

Nagle wśród tych szmerów odezwał się turkot wozu. To mąż Maryny przywoził żonie ratunek...

Akuszerka zbadała Marynę, myślała długo, coś rozważała, aż wreszcie rzekła cicho do męża Maryny:

— Trzeba lekarza!

— Lekarza? teraz?

— Tu, na wsi, lekarza?!

Była cisza, tylko za oknem szemrał wiatr.

Nagle krzyk ogromny, przeraźliwy rozdarł tę ciszę:

— Jezu kochany! Jezu..u..u...

To jęk Maryny tłukł się o ściany izby. Mąż wybiegł z chałupy i... po chwili zaturkotały znów koła wozu.

Pojechał.

Lekarz mieszkał o 15 klm. od wsi. W mieście o tej porze jest wiele światła, mieszka wielu lekarzy. Ale tu, trzeba jechać wiejską drogą, wśród nocy



i wichrów. Pędzi mąż Maryny ku tym światłom, ku temu zbawieniu, ku ratunkowi i pomocy.

— Czy aby zastanę lekarza?

— Czy zechce pojechać?

— Ile zażąda?!

Koła toczyły się szybko. Konie, jakby rozumiały niebezpieczeństwo spóźnienia, rwały co sił. Wicher wył i gwizdał wśród drzew. Po niebie toczyły się grube, potężne chmury i zakrywały niebo. Noc była ciemna i zimna.

W tę noc, jak od lat, jak od wieków, pędził chłop do miasta po lekarza, po ratunek.

A oto w izbie Maryny, niby w tym sadzie przed chwilą, szalał ból straszny: ból rodzenia. Wicher jakiś potężny, jakiś ogromny olbrzym wdarł się do wnętrza i rozpoczął walkę. Kto tu zwycięży? Czy nowe życie, czy nowy człowiek co idzie ku słońcu, czy świat rodzący, cichy, spokojny i zasłuchany w pieśń ogrodu?

Kto tu zwycięży? Kto?

Maryna coraz częściej, coraz boleśniej jęczy. Bezradne kobiety załamały ręce i niby cienie rozpaczy stoją nad chorą w zadumie. Ta i owa otarła czasem oczy, zaszeptała jakąś modlitwę. W izbie panowała cisza, od czasu do czasu przerywana jękami chorej i tym niemilosierdnym rzęgotem drzew za oknem.

Tak minęła jedna godzina, dwie, trzy, cztery...

Wiatr nieco ucichł, zbladł już blask lampki na stole, a gdzieś na wschodzie zarumieniło się niebo.

Świtanie szło ku ziemi.

Nagle Maryna, której jęk już od dwóch godzin ani na chwilę nie ustawał — wrzasnęła strasznie, przeraźliwie...

Stały nad nią kobiety. Akuszerka chwyciła jej rękę i wpatrzyła się w jej oczy rozwarte szeroko:

— Ludzie, bo skona! — krzyknęła.

— Doktora!

— Ludzie kochani, doktora!

— Doktor!!

— Gdzie doktor?!!

Z tym strasznym okrzykiem wypadła Agnieszka przed dom Maryny. Była cisza na polu i słońce spokojnie szło z mgieł ku szczytom. Wiatr ucichł, a tylko dołami wałęsały się mgły i niby psy lizały ziemię. Pachniało smutkiem w świecie i opuszczeniem. Agnieszka wyszła na drogę. Droga szeroka ziewała pustką. Szła oto od wsi, wiła się, kręciła gdzieś między drzewami i ginęła hen, za górami, gdzieś w zaświatach.



Pustka i spokój drzemały na drodze.

Agnieszka wróciła do izby. Na łóżku leżała blada i wyprostowana Maryna. Kobiety klęczały szepcząc cicho: „wieczne odpoczywanie, racz jej dać Panie, a światłość“...

A światłość?

Gdzie światłość nadziei?

Lekarza jeszcze nie ma na wsi!





NASZE ZDROWIE

W DOMU było nas dziewięcioro. Dzisiaj z całej rodziny zostałem sam. Dlaczego? Może właśnie dlatego, że wyrwałem się ze wsi, że miałem możliwość lepiej się odżywiać i czyściej mieszkać. Dzisiaj, przemęczony pracą, sponiewierany okropnymi warunkami w czasach studiów — znów muszę wracać na wieś, by tam szukać zdrowia.

— Jakże to — spyta ktoś — niby na wsi ludzie nie mają dobrych warunków zdrowotnych, uciekają dlatego ze wsi, a znów ci z miasta jadą na wieś po zdrowie?

— W tym coś jest nie w porządku! — powie inny.

I ten, kto tak powie, będzie miał rację. Bo u nas coś ze zdrowiem jest nie w porządku. Niby ludzie na wsi mają świeże powietrze, niby mają owoce i nabiał, a jednak... jednak najwięcej wśród nich hula

gruźlica. Widać z tego, że samym świeżym powietrzem żyć nie wystarczy. Do zdrowia potrzebne jest i odpowiednie odżywianie, i to już od dziecka. A tymczasem jak to jest z tym odżywianiem, każdy na wsi wie najlepiej. Każdy drobiazg musi się wywieźć do miasta i nawet dziecko rzadko widzi mleko. Mięso? A no jest, jak się zabije świnie na święta, albo jak kura dogorywa. Gospodarcze więc dźwignięcie wsi — dźwignie i nasze zdrowie. Chłopu naprawdę niewiele potrzeba by był zdrowy. Ale odżywianie i nawet gospodarcze dźwignięcie nic nie pomoże, gdy wieś nie zdobędzie się na odpowiednie urządzenie własnego życia.

Chyba najważniejszą sprawą będzie tu higiena. Ino nie taka higiena, jak to ją czasem pojmuje mieszcuch, tzn. „żeby sobie w gnoju nóżek nie zawalać“, „żeby rączki wciąż w wodzie myć“ itd., ale ta, która powiada: wszystko to, co cywilizacja, co rozum ludzki zdobył dziś dla ratowania zdrowia — wszystko to musi być dostępne dla wsi!

Wieś ku tym zdobyczom wyciąga ręce. Wieś chce mieć u siebie ośrodki zdrowia. Ale... cóż? Lekarze wszyscy rozsiedli się po miastach, bo tam wygodniej, bo tam lepiej, bo tam są kina, teatry, gazety, kawiarnie — a na wsi? Na wieś najwyżej lekarz przyjdzie po to, by za każdą wizytę od razu krowę i cielę z obory chłopskiej wyprowadzić. Ta dróżyzna lekarzy i to ich oddzielenie się od wsi sprawiło, że wieś musi radzić sobie z własnym zdrowiem po swojemu.

I wieś radzi sobie.

Dawniej, kiedy jeszcze na wsiach polskich panowały „mroki średniowiecza“ i kiedy jedynym miejscem gdzie wieś się spotykała były karczmy — radzono sobie w ten sposób, że szli ludzie w razie

choroby do „znachora“, „odczyniacza“, „guślarza“ itp. i u nich szukali ratunku. Czepiali się tych wierzeń, jak tonący czepia się brzytwy.

Ale jak w każdej dziedzinie, tak i tu przyszło ostrzeżenie. Ludzie żyjący przez tyle wieków w gromadzie zrozumieli, że złu nie w pojedynkę, ale gromadnie trzeba zaradzić!

I oto w niektórych wsiach, jak np. w pow. stopnickim, członkowie Koła Młodzieży zaczęli myśleć nad tym, w jaki też sposób należało by złu zaradzić i chorym ludziom na wsi pomóc. Myśleli, gadali o tym i doszli wreszcie do jednego: trzeba poskładać się po „złotówce“ rocznie, stworzyć w Kole Młodzieży fundusz zdrowia i — w razie gdy zajdzie potrzeba, gdy ktoś na wsi zachoruje, lekarz jest konieczny, dać mu lub pożyczyć na lekarza. Dać temu, który nie ma, pożyczyć temu, który ma gospodarkę, ale akurat gdy go nawiedziło nieszczęście nie ma gotówki. A lekarz na wieś na kredyt nie pojedzie! Te „kasy zdrowia“ jednak nie wystarczały.

W niektórych znów wsiach największą bolączką było to, że często (najczęściej do rodzących kobiet) nagle trzeba było przywieźć lekarza. No, dobrze. A jeśli wypadło, że zachorował ktoś, kto nie ma koni? Musiał chodzić od chałupy do chałupy i prosić, a tymczasem chory umierał. Wprawdzie w takim wypadku, to znaczy w chorobie, na wsi nikt jeszcze nikomu nie odmówił pomocy, ale — zawsze różnie to może być: a to ten ma wóz rozebrany, a tamten znów konie zajęte, inny znowu właśnie wybierał się gdzieś wyjechać itd., itd. Próbowano temu zaradzić (np. w pow. mieleckim) w ten sposób, że co miesiąc trzech gospodarzy we wsi miało

„dyżur lekarski“. To znaczy przez miesiąc trzech gospodarzy było przygotowanych zawsze na to, że w razie potrzeby wyjazdu po lekarza, jeden z nich (kolejno) musiał natychmiast jechać. To było prawo moralne gromady, a prawo takie jest najświętsze. Dlatego dyżur spełniano wiernie. Ale mało tego. W jednym Kole Młodzieży myślano o tym, by zakupić „wózek lekarski“. Taki wózek miałby przebywać u tego gospodarza, który w danym miesiącu „ma wartę“. Miała to być taka wózkowa „krzywula“, „wartownica“, czy jak ją tam jeszcze nazywają. Nie wiem, czy do dziś dnia żyje jeszcze ta myśl i czy dalej „warty lekarskie“ są rozstawiane po tych wsiach, ale wiem, że w innych okolicach bolączki braku lekarzy rozwiązywane zostały w inny sposób.

Węc np. w powiecie kozienickim Koła Młodzieży postanowiły zacząć propagandę higieny — czystości w chałupach wiejskich. Urządzają się więc w ten sposób: zapowiadają członkiniom kół, że w dniach takich a takich będzie chodzić komisja, wyłoniona przez członków koła, i badać będzie czystość w izbach. Rany Boskie! Co się wówczas dzieje po chałupach, tego nikt opisać nie potrafi. Czyszczenie, wietrzenie izb, strojenie, sprzątanie że aż furczy wszystko.

I ludzie przyzwyczajają się do czystości.

Ale na to potrzebny był jeden człowiek, który rozumie skąd płynie zdrowie. Człowiekiem tym w powiecie kozienickim jest syn chłopski, syn tamtejszego powiatu, dr. Jan Jaworski. Jest on inteligentem, jak wielu synów chłopskich. Tylko — kiedy inni zapominają o wsi, odchodzą od niej, on

nie tylko nie odszedł, ale żyjąc wśród swoich nie oddziela się od wsi i dźwiga ją.

Byłem parę razy u niego. Ile razy tam zajedzie ktoś — zawsze napotka tłum ludzi koło jego domu. To chorzy. Przyjeżdżają z najrozmaitszych stron furami, przychodzą pieszo. I właśnie dlatego że to



jest swój i umie, jako syn chłopski, z ludźmi na wsi się obchodzić, ma tak wielu pacjentów.

— A czy możecie — pytam Jaworskiego — wyżyć, utrzymać się tu jakoś z tych zarobków? (Jaworski za wizyty od chłopów bierze drobniutkie kwoty, a czasem, gdy ktoś całkiem biedny przyjdzie, jeszcze dokłada, daje na lekarstwo!).

— No, mniej się bierze, ale za to ludzi przyjeżdża wielka ilość. To się tak jakoś i wyrównywa.

Ale może nie wyrównywałoby się, gdyby nie fakt, że ludzie idą właśnie tam, gdzie oprócz taniości mają i dobrego lekarza. Jaworski — to wielki talent lekarski. A ileż tych talentów ma wieś! I komu one służą?!

Lekarze synowie chłopscy winni brać przykład z Jaworskiego. To już nie ów inteligent zniżający się do wsi, to już nie Judym robiący z siebie ofiarę, ale to człowiek, który wykonuje tylko swój zawód i żyje z tego zawodu. A że w nim jest jeszcze „żyłka“ społeczna i ona zmusza go do pracy wśród gromady, do pracy oświatowej, wychowawczej, a nawet politycznej — to już inna sprawa. Tak czy owak, potrzebny jest w Garbatce Jaworski i dziś już wieś bez niego nie potrafiłaby żyć.

Tacy Jaworscy potrzebni są w każdej okolicy, w każdej wsi.

Ale wieś nie może czekać na ludzi opatrznoscio- wych, nie może błagać o to, by ktoś jej łaskę robił. Dlatego skoro nie ma więcej po wsiach lekarzy w rodzaju Jaworskiego — chłopci zaczynają szukać innych dróg, wiodących do poprawienia swojego żywobycia.

I znajdują.

Jak zawsze, tak i w tym wypadku, jedynym wyjściem jest liczenie na gromadę, na zespół ludzi. Wiadomo, że próbowano już w różny sposób sprowadzić lekarzy na wieś. Nie dało się, wobec tego w powiecie przeworskim, we wsi Markowa, postanowiono założyć „Spółdzielnię Zdrowia“.

Pomysł stworzenia tej spółdzielni zrodził się w zwykłych, często na wsiach spotykanych warun-

kach. Oto gdzieś ktoś zachorował i mógł być wyleczonym, mógł żyć, gdyby był na miejscu lekarz i gdyby przyszedł choremu z pomocą.

Niestety, lekarza nie było i chory umarł.

Zaczęto nad tym dyskutować, rozważać. I okazało się, że takie wypadki wciąż zdarzają się na wsi.

— Trzeba coś robić! — mówili jedni.

— Trzeba złu zaradzić!

— Lekarza potrzeba!

— Ale jak?

— Ale skąd?

Radzono długo, myślano, dyskutowano, aż zrodził się plan: Markowiacy i chłopci okolicznych wsi (5 wsi) złożą udziały, zbierze się fundusz, z którego wybuduje się dom dla „Spółdzielni Zdrowia“. Ze składek członkowskich opłaci się pensję lekarzowi i oprócz tego zużyje te składki na bieżące wydatki. Skoro powstał plan — uczynił się ruch po wsiach.

— Jak to, ludzie kochani, u nas będzie doktor?!

— pytali jedni ze zdziwieniem.

— Ej, gdzieby tam...

Czas płynął, co mądrzejsi chłopci, wraz z inż. Ignacym Solarzem, twórcą Uniwersytetu Orkanowego — przygotowali spółdzielnię. Kłopotów było wiele, ciężko szło, no ale jak każda wielka rzecz ciężko powstaje, tak też i ta pierwsza w Polsce spółdzielnia.

Nareszcie w roku 1936 uruchomiono w Markowej pierwszą w Polsce „Spółdzielnię Zdrowia“. Urzą-

dzona jest ona prosto: chorzy, członkowie Spółdzielni, ich rodziny, w razie potrzeby zgłaszają się do sekretarza, płacą 2 zł, w zamian za to otrzymują kwit z którym idą do lekarza (nie członkowie płacą 3 zł). Leczy się coraz więcej ludzi. Z tych drobnych opłat może się dziś Spółdzielnia już utrzymać, może opłacić lokal, lekarza, sekretarza i jeszcze jest nadwyżka. A ludzie zadowoleni, cieszą się, że oto nareszcie wśród siebie mają człowieka, mają lekarza, który w razie nieszczęścia przyjdzie im z pomocą.

Ludzie rozumieją jeszcze jedno: potęgę gromadnego działania! Przecież w pojedynkę nikt by się nie doczekał takiego „cudu“. Gromada czyni te cuda.

I zdrowie nasze od zdrowia gromady zależy!

A zdrowa gromada broni się przed złem i tworzy nowe, pożyteczne i wielkie rzeczy.

Takie jest prawo gromady i wieś to prawo już dziś rozumie.

Oby tak było we wszystkich wsiach polskich!





MINIONE SPORY

WIEŚ polska jest jak las. Gdy człowiek patrzy na las z daleka, wydaje mu się on mały i prosty: ot linia, pas drzewa, a ponad ciemną smugą lasu mgły. Im jednak dalej w las — tym więcej drzew. Im głębiej człowiek wchodzi w wewnętrzne życie każdej wsi — tym większe widzi bogactwo myśli, czynów, spraw i zagadnień. Niestety, dotąd jednak patrzono tylko na wieś z wierzchu. Nie było ludzi, którzy by wdarli się w sam środek gęstwiny i życie pokazali światu, życie wewnętrzne wsi. Dlatego w książkach i w dziennikach czytaliśmy wciąż o wsi jak o dekoracji, pokazywano nam wierzch, pasiaki, pawie pióra, brzękadła i podkówki. Oglądano wieś z daleka, dlatego wydawała się ona mała i prosta, jak las. Nikt nie dojrzał olbrzyma, który drzemie pod prostą linią.

Dziennikarze, literaci, poeci, malarze i uczeni widzą tylko chałupy, płoty i kominy kiwające dy-

mem jak ogonem, ale nie widzą jednej rzeczy: w każdej chałupie, w każdym gospodarstwie dzieją się sprawy i rzeczy na miarę czucia Prometeja! Każda chałupa, każda izba — to siedlisko przemysliwań, wynalazków, ulepszeń i pomysłów, to życie ludzi twórczych. Dzięki tylko temu wieś mogła przetrwać najpotworniejsze dla niej dni w historii: szlachetczyznę, wojnę i kryzys. Chłop radzi sobie z gospodarką, radzi sobie z rodziną, z chudobą i — radzi sobie z gromadą. Gromada jest właściwie jednym miernikiem wartości: ona ocenia, ona wydaje opinię i ona tworzy, poprawia życie i ulepsza. Każde ulepszenie, poprawa życia ludzi w jednej wsi — to ulepszenie Polski, to dźwignięcie Jej wyżej.

Cierpiała wieś i cierpiała Polska na spory. Spory, kłótnie i bitki — to wielkie rany krwawiące na ciele Polski. Kto dokona tego, by w gromadach naszych ustały kłótnie i spory, ten uzdrowi całkowicie nasze życie.

Niestety...

Odkąd zapanowało u nas kaznodziejstwo, gołosłowny szablon i pobielany grób stał się miernikiem moralności — odtąd lała się krew na miedzach o kurę, o płot, o złe spojrzenie, o drobiazg. Zawalone były sądy sprawami chłopskimi. Wieś się kłóciła i sądziła, a ponad kotłowskiem waśni rozbrzmiewały puste słowa o... „moralności“. Chłop szukał wszędzie sprawiedliwości i... jakoś nigdzie jej nie znalazł. Znałem wypadki, że pogodzeni chłopci w sądzie wracali do domu po to, by żyć z sobą jak pies z kotem.

Aż... znalazł chłop sprawiedliwość!

Usadowiła się ona w nim samym, w jego gromadzie: oto — mało kto będzie chciał wierzyć, iż

jest wieś w Polsce, która skończyła z paragrafami. Nie idzie do sądów. Wieś ta — to S i e t e s z na pograniczu pow. przeworskiego.

Kiedy pierwszy raz jechałem do tej wsi, już w drodze, w czasie pogwarek z ludźmi obijały mi się o uszy dwa słowa: „c h ł o p s k i e s ą d y“. Zastanawiałem się, co to takiego być może. To też gdy przybyłem na miejsce, pierwszym moim pytaniem było:

— Jak to wyglądają te „chłopskie sądy“ u was?

Mój rozmówca, prezes miejscowego Koła Młodzieży, uśmiecha się radośnie i tłumaczy:

— Wiecie, to zaczęło się u nas całkiem prosto: Któregoś dnia pobili się sąsiedzi o miedzę. Polała się krew. Bo chłop jak bije, to nie po to, by śmiać się! To też płacz, jaki się zaczął w czasie bitki, trwał miesiącami. Włóczyli się sąsiedzi od sądu do sądu, zapadały wyroki, zarabiali adwokaci, upadali od znużenia sędziowie, a chłopci wciąż powtarzali:

Szukamy sprawiedliwości!

Aż znaleźliśmy ją tu, u nas. Zebrało się paru ludzi starszych, pogadali z sobą, pomyśleli o tym, jakby zażegnać ten spór i... pewnego dnia zaproszono skłóconych do Domu Ludowego. W obecności gromady, zwłaszcza ludzi starszych, nie odważyli się bić, zresztą trochę się bali, ale pyskowali na siebie co im ino ślina na język przyniosła. Kiedy się już wyklócili dobrze, wstał stary gospodarz, plunął na izbę i tyle tylko powiedział: „oj, głupie ludzie, głupie“!

Zaległa cisza.

Zdawało się, że zstąpiła jakaś siła do izby i rozbijała ludzi ze złości. Kłótnicy wybałuszili ślepią i nagle przypomniali się im procesy, ruina gospodar-

cza, zobaczyli, że cała wieś za nic już ma tak jednego, jak i drugiego.

I to był wyrok najcięższy, lecz sprawiedliwy.

Podali sobie ręce.

Odtąd żyją w zgodzie. Otóż ten wypadek naprowadził nas na myśl, by każdą mniejszą sprawę w ten sposób, tu, u siebie, na wsi, rozstrzygać. Niech sędzi gromada! Wybraliśmy więc we wsi z każdej organizacji po dwóch ludzi starszych, poważanych ogólnie, a oprócz tego paru starych, rozsądnych i cieszących się szacunkiem gospodarzy spoza organizacji. Ci teraz sądzą.

— Jakto?

— Po prostu. Gdzie jaka zdarzy się sprawa, zbierają się ci wybrani gospodarze i wzywają winnych.

— No, a ci, czy przychodzą?

— Moi drodzy, niechby nie przyszli, wówczas cała wieś uznałaby ich za odszczepieńców, a przecie wiecie, że chłop niczego się więcej nie boi, jak utraty poważania na wsi. Ale tu już nie o lęk chodzi, tu jest wiara chłopu w sprawiedliwość sądu gromadzkiego. Wie, że gromada wraz z nim cierpi i wspólnie myśli o tym, by sprawiedliwość była. Dlatego wierzymy w nasze sądy. Nie było jeszcze wypadku, by tu, w izbie gromadzkiej, zapadł inny wyrok niż ten, jakiego spodziewa się podsądny. Sumienie tu rządzi, a nie bezduszny przepis.

— No dobrze, a czy długo żyje ta wiara w sumienie?

— Mieliliśmy już ponad sto rozpraw, ale nie było jeszcze wypadku, by ktoś czuł się wyrokiem pokrzywdzony. Ale też sądy nasze nie karzą, tylko tłumaczą, wydają opinię i łagodzą. A chłop z zasady nie jest pieniaczem — chodzi tylko o to, by ktoś

najbliższy umiał mu wytłumaczyć to, czego nie pozwala mu zrozumieć złość, zawiść i chwilowe zaciętrzewienie.

— Zresztą — dodaje mój rozmówca — tu u nas, na wsi, wszyscy się przecież dobrze znają i wyrok na każdego jest zawsze gotowy. Wyrokiem jest opinia. Dlatego jeżeli ktoś uniósł się chwilowo — tłumaczymy mu to, zaś jeśli z gruntu jest awanturnikiem, musi ulec gromadzie, bo jakże żyć potrafi bez niej?

— A czy był wypadek jakiejś surowej kary?

— Nie, kary nie było, była tylko raz taka sprawa, że trzeba było awanturnika wychować. Pobił on kilkakrotnie różnych ludzi. Zapadł wyrok: wieś z nim nie będzie się wdawać. Przeszono z nim rozmawiać, omijano go, nawet krewni odsunęli się od awanturnika. Żył sam. Ale czy na wsi może tak człowiek żyć długo? A to trza pożyczyć, a to poradzić się — ludzie chętnie pomogą, ino trza przestać być szkodnikiem. Złamał się upór w awanturniku. Zgłosił się do sądu, wytłumaczył i — odtąd żyje jak każdy.

— Czy macie jakiś statut tego sądu? — spytałem niespodziewanie mojego rozmówcę.

— Statut? Pisany?

— Tak.

— Nie! Statutu ni regulaminu nie ma, ale wypisaliśmy ino porządek rozpraw i skład sądu. Ot, macie tu...

Przeglądam: nazwiska sędziów, dni rozpraw, protokoły, a wreszcie same rozprawy: o pobicie, o miedze, o płot, o grunt, o podział, złe obchodzenie się z ojcem itd., itd.

Sietesz jest dość dużą wsią, ale biedną. Gospodarstwa rozdrobnione, ludność zgęszczona, to też i spraw drobnych pełno. Ale oto ta ludność walcząca z dworem, cukrownią i gorzelnią — sama swe sprawy bierze w swoje ręce. Są tam różne organizacje, są sklepy spółdzielcze, jest Dom Ludowy i — są „chłopskie sądy“. Zbierają się one wówczas, gdy zajdzie potrzeba. Zwykle w niedzielę wieczorem.

Nie miałem możliwości być „na rozprawie“. Zresztą niechętnie tam obcych widzą. Zawsze to przeszkadza. Ktoś, kto chce przed gromadą wszystkie swe żale wyłożyć, przy obcym będzie się krępował. Sietesz nie idzie po sprawiedliwość do obcych, lecz sama u siebie tę sprawiedliwość czyni.

Wyjeżdżałem z tej wsi dziwnie spokojny. Nie wiem, czy śnieg to uczynił, czy słońce spokojnie płynące po niebie, czy cisza, jaka zaległa na polach — nie wiem, wiem tylko jedno: na małym kawałku polski chłop zaprowadza ład!

Z daleka, gdy obejrzałem się na Sietesz, wyglądała jak las wśród mgieł, cicha, spokojna i prosta. Wiem, że kiedyś tak będzie wyglądała cała Polska. Oby jak najprędzej.





TWÓRCZE PODHAŁE

MODNE jest dziś Podhale. Na wieczorkach, na uroczystościach różnego rodzaju, wszędzie słyszy się gwarę góralską, opowiadania i pieśni górskie. Miasto zaczyna bawić się Podhalem tak, jak bawiło się kiedyś Bronowicami. Ciupaga, kierpce i „zbójnicki“ — zastąpiły pawie pióra, „pas kowany“ i podkówki. I byłoby wszystko w porządku, gdyby miasto nie widziało tylko dekoracji Podhala, ale by zobaczyło tam także człowieka. A tak — robi się z Podhala teatr, z górali — szopkę. Ot, taką szopkę opisał p. Tomanek: mianowicie, kiedy w czasie „Święta wsi“ w Krakowie przechadzał się po ulicach, zbliżył się do grupy górali. Jakże, trza nawiązać kontakt ze wsią! Zagaduje więc pierwszego z brzegu górala:

- Wyście, ojciec, skąd?
- Łód Nowego Targu.



— Jakże tam u was?

Obrodziło dobrze?

— Nii...

— A bydełko macie?

— Iii, nii...

— A owieczki? Świnki?!

— Nii...

— A gazdostwo swoje
macie?

— Nii...

— To co wy macie?

— A no, kancelarię adwokacką i cztery maszyny
do pisania.

Przyzna każdy, że w takim wypadku zatracą się
w człowieku chęć nawiązania kontaktu z prawdzi-
wym góralem. Zginęła ona i u p. Tomanka. Z Pod-
hala zaczyna się robić malowanekę, aby mieszczuch
miał się czym bawić, tymczasem zapomina się lub
lekceważy uczucia i dążenia górali. Górale bowiem —
to nie ino gwara, strój, muzyka i taniec, ale to przede
wszystkim ludzie zbudzeni do nowego życia. Daleki
jest dzisiejszy góral od obnoszenia swoich dekoracji
po „ceprach“. Cały umysł jego i czucie wyteżone
jest w jednym kierunku: czym się dźwignąć, by
dorównać innym klasom społecznym, a nawet by
je przewyższyć.

Ale jak wszędzie, tak i na wsi podhalańskiej trwa
tragedia wyrównania. Wyraża się ona w tym, iż
wysiłki górali zmierzające do uspołecznienia
życia wśród własnych gromad, do dźwignięcia się
kulturalnego i gospodarczego, do zdobycia należ-
nych chłopom praw w Polsce — mało kto widzi.
Dlatego wysiłki te często giną. A jeżeli żyją, to

po to, by wiecznie kuleć, by w ciężkich warunkach tkwić w prymitywie.

Oto przykład. Tworzy się muzea kultury góralskiej, mówi się w nich wiele o zewnętrznym życiu górala, o dekoracji, a jakoś nikt dotąd nie potrudził się pokazać światu wysiłków górali zmierzających do polepszenia bytu na Podhalu — na skalnym Podhalu. A nędza tam wielka. Ale jeżeli ktoś inny w nędzy traci głowę — to w każdym razie nie góral!

W czasie swej wędrówki po Podhalu mogłem zauważyć, iż całe rodziny przez długie tygodnie karmiły się tylko grulami. Mięso, ba nawet mleko to luksus! Po pierwsze że nie ma krów, a po drugie — jeśli nawet gdzie znajdzie się krowa, to mleko jej wędruje do miasta, by zań parę groszy przyszło do chałupy. Na rynku, wśród drobnych handlarzy ceny za produkty rolne takie, jakie wymyśli sobie handlarz. I górale długo to znosili. Ale przebrała się miarka. Przez Podhale, jak wiatr halny, przeszło hasło: skończyć z pośrednictwem, uspołdziłczyć życie!

Ale jak?

Jak w innych wsiach polskich, tak i na Podhalu wrócono do tradycji. Istniał dawniej zwyczaj, że gromady wspólnie na halach pasały owce i wspólnie radzili gazdowie. Odnowiono ten zwyczaj i — oto powstały „spółdzielcze bacówki“. Twórcą ich stał się prosty góral, Wojciech Kamiński z Szaflar. Cichy, spokojny, małowówny, wiecznie dumający. Chciałem dowiedzieć się coś bliższego o owych głośnych „bacówkach“ Zagadnałem o to Kamińskiego. Z odpowiedzią nie przyszło jednak łatwo. Musiałem spróbować zacząć rozmowę o rzeczach błahych, o dro-

biazgach, i dopiero słowo po słowie zbliżyć się do tematu, o który mi chodziło.

— Jak to u was jest z tymi „bacówkami“?

— Iii... a dy ta jakosi cosi jest.

— A opłaca się to?

— W kupie, to się wszystko lepiej opłaca.

— Znaczy się, żeście połączyli pojedyncze bacówki i spółdzielczo sprzedajecie sery i masło?

— No przecie. Gazda downi musieł som w mieście przedawać.

— A dzisiaj?

— Dzisiaj bierze się wszystko w kupę i wywozi na Kraków, Warszawę, Poznań, Lwów, a nawet Berlin i Pragę.

— Jakto?

— A no, bo nie ma lepszego syra, jak nas! W pojedynkę nie stać nikogo na maszyny, na urządzenia mleczarskie, ale spółdzielczo co innego. W naszych spółdzielniach mamy wszystko!

— No a ludzie, godzą się na wspólny zakup maszyn, na wspólną przeróbkę nabiału i na wspólne wypasanie owiec?

— Co by się nie godzili? A dy to się opłaci. A zreśćą górale są zwyczajni w gromadzie, hurmem!

Nie miałem możności przyjrzeć się bliżej „spółdzielczym bacówkom“, ale natomiast miałem możność widzieć z bliska gromadne działanie górali. Oto w kilku wsiach na Podhalu budują się domy ludowe. Jak? Skrzykuje się paru górali, dają robociznę darmo, składają się na materiał budowlany i bez żadnych statutów, bez towarzystw i rejestracji budują domy, by „syćka ze wsi miały pożytek“!

Z gromadnego, spółdzielczego ducha górali rodzi się każda rzecz na Podhalu. I choć ten duch gromady ma nawet czasem rodowe cechy, to jednak jest on jedynym motorem budzącym górali do tworzenia.

— Kie idom rody Krzeptowskich, Kamińskich, Rojów itd., itd. — idzie całe Podhale!

Ono to tworzy nowe życie.

Ot, gdzieś w okolicy Jordanowa, w obazgranej w niemilosierny sposób przez Jalu Kurka Naprawie — zrodziła się myśl stworzenia chłopskiego, literackiego pisma. Było to przed paru laty. Kilku młodych poetów górskich ozwało się gromko: trza nam swojego, chłopskiego pisma literackiego! Na apel ten zgłosili się i inni pisarze, z dolin. I oto w niedługim czasie zaczęło w Naprawie wychodzić pismo: „Wieś — jej pieśń“. Redagował to pismo Antoni Olcha (Mirek), młody góral. Redakcja mieściła się w ciasnej, wilgotnej izbie, u matki Mirka. Drukowano to pismo w Jordanowie, w maleńkiej a taniej drukarence. Trza było osiem stron drukować dwa tygodnie. A kiedy już ukazało się, brali chłopci do chałup, do wsi. Czytali. To było ich pismo! Nie więc dziwnego, że nie tylko na Podhalu, ale i w Polsce całej zaczęto głośno mówić o „Wsi — jej pieśni“. Żyła ta pieśń! Żyła zasiana materiałem redakcyjnym pisanym przez samych chłopów, początkowo nieudolnie, ale z każdym numerem lepiej. Doszło do tego, że w przeciągu 5 czy 6 miesięcy zdobyło ono około 1.000 prenumeratorów-chłopów. Zdarzały się wypadki, że na prenumeratę tego pisma przywozili chłopci gęsi, masło, a nawet grule. Czyim kto mógł, tym płacił.

Ale widać za piękny to był przejaw samorodnego poczynania wsi, by mógł swobodnie w Polsce się rozwijać. Przyszli inteligenci, a potem...

Et, szkoda gadać! Upadło pismo.

Odtąd cicho w Naprawie.

Słychać tam ino od czasu do czasu pieśń halnych wiatrów. A pieśń ta jest groźna. Huczy, jak bunt przeciw zaspaniu i opieszałości.

To wiatr halny wyrywa się z zimnych skał: chce słońca i wolności!

A wolność ta, swoboda, idzie na Podhale, jak do wszystkich wsi polskich, przez pracę, gromadne działanie, przez wysiłek twórczy.

To nie niszczycielska pieśń, lecz pieśń tworzenia!

Górska pieśń!





Z DOLIN NA SZCZYT

POCIĄG strasznie się wlecze. Staje na każdej małej stacji. Odpoczywa, nabiera sił i pcha się w góry. Od Krakowa do Kalwarii jeszcze wytrzymać można. Teraz już coraz nudniej, choć niby coraz bliżej gór. Pociąg, ten dziwny pociąg, wlokący się jak krowa, tak męczy. Cóż ma robić człowiek wówczas, gdy siedzi w pociągu przy oknie, patrzy na świat i ma przed sobą jeszcze długie, szare godziny jazdy?

Patrzę na góry, na lasy, wsie i myślę. Ot, tak bądź co. Np. przypominam sobie, kiedy to tędy jechałem. Acha, z kliniki do sanatorium, do Zakopanego. Te same góry, te same lasy, tylko wydają mi się dziś zdrowsze i świeższe. Mniej jednak powabne. Odszedłem od okna. Zacząłem chodzić tam i z powrotem po korytarzu, wreszcie zatrzymałem się nagle. Właśnie nie sam się zatrzymałem, ale roz-

mowa to uczyniła. Rozmawiało dwóch panów, widać sportowców:

— Panie! — powiada jeden — nasze góry są nie wykorzystane dotąd jako tereny narciarskie.

— Ej, panie, kto się ma dziś tym zająć?

— Władze!

— Jakie?

— Sportowe!

Wszedłem do przedziału i zanotowałem: „a czy istnieją władze, które by zajęły się człowiekiem w tych górach?”

Co za naiwne zdanie — pomyślałem.

Widzę na którejś stacji taki obrazek. Pcha się jakaś kobiecina do wagonu. Spocona, zziębnięta, wstawia najpierw kosz, potem bańkę, a wreszcie ciężar owinięty płachtą.

— Oj, Boże, — szepce, gdy pociąg ruszył — byłabym się spóźniła.

— Byłoby wam, mamusiu, „mliko“ zamarzło — śmieje się rad ze swego dowcipu jeden pan z korytarza.

Gądzina marszczy brwi i odwraca głowę. Widać, że woli nie patrzeć na tego, który tak pięknie przed chwilą mówił o niewykorzystaniu gór.

Na którejś stacji zbliżam się do kobiety.

— Gdzież pani jedzie?

— Na Zakopane.

I powoli zaczynamy rozmowę. Od słowa do słowa, dowiaduję się wreszcie, że jedzie do syna, który jest studentem gimnazjalnym. Przepychał się on o własnych siłach przez gimnazjum, ale musiał

porzucić naukę. Ot, miast matury — sanatorium w Zakopanem! Właśnie matka-chłopka wiezie mu trochę żywności.

Pociąg się ogromnie wlecze.

Nie mogę już teraz spokojnie myśleć. Obrazy, jak koszmary wyłażą zewsząd i stają przed oczyma: oto widzę własną matkę, jak z „prowiantami“ przepycha się przez tłum ludzi, by tylko wsiąść do pociągu, by



tylko zdążyć do syna... Może on głodny, a może chory? Ileż to matek od lat już wozi synom kawałek chleba do szkoły, ileż to matek słucha tych drwin w pociągach! Kto to robi? O jakże często ci sami synowie, ale już dziś we frakach!

Ten pociąg strasznie się wlecze.

Przypominam sobie, jak i z nas drwiono, żeśmy nie mieli ładnych mundurków, że mowa nasza była sękata, że czuć nas było oborą... A tylko matka, ko-

chana matka, gdy się zjawiała nic nie widziała. W jej oczach myśmy już byli „panami“... Matko! Dlaczego nie ma Cię teraz, bym Ci powiedzieć mógł, że syn Twój nigdy nie był panem? Że pozostało w nim serce i krew Twoja i że to serce tak strasznie cierpi, po chłopsku!

Ach, jak ten pociąg się wlecze!

Trzeba było przejść poniżenie, ścierpieć drwiny, trzeba było głodu skosztować, by wreszcie doczekać się papierka i z tym papierkiem wędrować w słońce.

— Dokąd?

— W góry! Do sanatorium, do klinik, do lecznic, albo... do ziemi.

Oto tragedia synów chłopskich, którzy wyrwali się z dolin, aby na szczytach myśli zatknąć swój sztandar zwycięski. Chcieli oni zrównać się z „górami“, a zapomnieli o „dołach“. Mgły się tam dziś szwendają. Mgły i opary. A wśród oparów tych giną talenty, giną ludzie, którzy mogliby Polskę dźwignąć od dolin ku górą, ku szczytom, gdyby nie ta odwieczna tragedia wyrównania.

Pociąg się jednak strasznie wlecze.

Pamiętam przecież: Przekota, Karwał, Obrucha, Wojcieszek i tylu, tylu innych, których gruźlica zabrała ze szkoły. A ci co pozostali w dolinach? Oto: Puchały, Balawaidery, Fleiszary, Świetliki, tysiące, tysiące. A ponad nimi ci, którzy wyrwali się z dolin, przebili mgły, by wreszcie słońcem się zachłysnąć. To ci: Kuraś, Magryś, Jantek z Bugaja, Rak, Sawczuk, Słomka i inni, a wreszcie Stanisław Nędza-Kubiniec. Do niego wiozł mnie ten pociąg.

Nędza-Kubiniec mieszka w Kościeliskach. Tam — jak powiada — ród jego wcześniej zamieszkiwał niż ludzka pamięć. Ale gdy przyszła wojna, zabrali Staśka w rekruty. Przewędrował pół świata w mundurze, bił się za Austrię, aż gdzieś, w okopach już opuszczonych przez wszystkich wiernych cesarzowi, dostał się do niewoli rosyjskiej. Doczekał się rewolucji. Chodził na wykłady Lenina, uczył się nowych rzeczy, odmierzał świat mądrym Marksem, aż któregoś dnia w duszy Nędzy ozwała się tęsknota: uciec z tych dolin rosyjskich w góry! Zobaczyć raz jeszcze w życiu Giewont! Cichaczem, piechotą wędruje z Moskwy do swoich Kościelisk. Dobrnął. Zastał tu wszystko zmienione. Sąsiedzi, gazdowie możni, przyszli wieczorem powiedzieć mu, że teraz w górach jest Polska!

— A niech ta będzie co fce, byle jo w górach był, haj!

I został Stasiek w górach. A choć słoneczko miało blisko, choć Giewont codziennie spozierał w jego okno — ciasno mu było jakoś.

— W sobie się cujem ciasno, — powiada — lo tego pise wirsyki, bo coś me w środku rozpiro.

Zaczął on pisać wiersze wówczas, gdy gdzieś w dolinach ozwało się paru chłopskich pisarzy. W pismach ludowych ukazał się apel: pisarze chłopscy, łączcie się! Powstało wtenczas pismo „Wieś — jej pieśń“, wydawane w Naprawie. Do tego pisma przysłał Kubiniec swój pierwszy wiersz:

„...grojcie, niech się ozlego
niech idzie hyr po lesie...“

Już wówczas zwracaliśmy uwagę, że odezwał się prawdziwy talent. Ale nikt nie miał chęci, na

szczęście, „zaopiekować się“ nim. Dlatego rósł swobodnie i po dwóch, czy trzech latach wyraził się całkowicie w książce pt. „N a n o w ą p é r ć“. Książka ta będzie wyrazem wszystkich poetów górskich, ona to pokazuje, jak można złączyć prymitywy z techniką współczesną, jak można góry zrównać z doliną. Ale ona też mocno woła:

„...Nie będą wśród nas głodni i niesyci...”

Trudno mi jednak pisać w tej chwili o tej książce, skoro chciałem rozmawiać z samym autorem.

— Jak sobie tu dajecie radę? — pytam.

— A dy ta jakoś. Jo to ino chciołbym przycynić se haw tela ziemi kawołek, bo przecie na ty mordzy nie z kobito i z dzieciskamy nie zdole.

— Ileż tego?

— A dy troje.

— To z czegoż żyjecie?

— Zrobiliśmy tu spółdzielnię, ba, myślemy o bacówkach, a i jo ta sekretarzuje.

— No, dobrze, a macie to przygotowanie fachowe?

— A cy to tak wielgo štuka? Pisać i cytać somek się nauczył, to niby spółdzielni nie poprowadze? Haj!

I w Kościeliskach gromadne działanie się zaczyna. Zaczyna to życie poeta, a wraz z nim górale. Poezja to najpiękniejsza. Świat musi o niej wiedzieć.

Ale już dzisiaj ludzie wiedzą i o Kościeliskach i o Podhalu. Rusza się ono znowu, jak za dawnych lat, jak za czasów Janosika, Napierskiego i Krzeptowskich. Tylko... że głębiej sięga Podhale dzisiaj. Rosną tam nowe „bacówki“, budują się do-

my ludowe, a wśród tych nowych, gromadnych poczynañ, rozbrzmiewa wolna pieśń górala. To Stasiek Nędza śle swoje wiersze do wszystkich. Na Podhalu, jak i w dolinach, zaczyna się życie od pieśni. Ona dziś budzi ludzi wszędzie, ona dziś zagląda do każdej niemal wsi, a w ślad za nią idą czyny: skupia się, rodzi i tworzy nowe wartości nowa wieś.

Tak zaczynają równać się „doły“ i „góry“.

Tylko ten pociąg strasznie się długo wlecze ku szczytom!





TRAGICZNA PIEŚŃ TWORZENIA

NIE trudno mi pisać o tym, jak żyją i tworzą artyści chłopscy, bo sam znam chyba najlepiej własne życie. Pominę jednak cały szereg tych, którzy wyszli ze wsi, a dziś już w kulturę wnieśli spory dorobek nowych wartości literackich, malarskich, muzycznych itp., którzy już przełamali podstawowe trudności, wyrwali się ze wsi i dziś już, po ukończeniu szkół stworzyli sobie jakie takie, możliwe warunki bytu. O tych w tej chwili, aczkolwiek warto, nie będę pisał. Nazwiska ich zresztą często przewijają się już przez szpalty pism. Świat i Polska zna ich już cokolwiek. Ale o ile tragiczniejszą i piękniejszą jest pieśń o tych nieznanym, ginących a wielkich talentach żyjących na wsi!

Prawie w każdej wsi, a już na pewno w każdej okolicy Polski rodzi się co jakiś czas wielki talent. Z braku warunków do rozwoju — ginie. Czasem

bez śladu, gdzieś pod płotem, gdzie ino wiatr i szum drzew śpiewaniem swoim nagradzają jego wysiłek twórczy. Czasem zostawiają ci nieznani artyści jakiś ślad po sobie: rzeźbę, wierszyk, śpiewkę, melodię. Rzeczy te przechodzą na własność gromady i tworzą wspólnie wielką skarbnicę — nieznaną kulturę ludową. Ktoś przychodzi potem do wsi, jakiś uczony, etnograf, pisarz, i wydłubuje z tej skarbnicy jedno, dwa ziarna, ale całości nikt dotąd w Polsce nie pokusił się spisać i pokazać światu. Dlatego o kulturze ludowej cicho w Polsce. Jakoś wolą niektórzy chwycić murzyńskie tańce i melodie, jakoś lubią paskudzić polską kulturę tandetą międzynarodową, chełpić się tradycją szlacheckich czasów, ale o zrębie Polski, o wsi rzadko mówią. A jeśli nawet zdarzy się ktoś, kto piórem czy pendzlem dotknie tych spraw, to albo bawi się kolorem wsi, albo wymyśla na nią, albo pokazuje ją jako egzotycznego murzyna lub stworzonko w klatce.

Jeżeli taki jest stosunek do całej kultury wsi, to cóż dopiero mówić o tym stosunku do poszczególnego artysty na wsi? Żyje on sobie zapomniany, po dwakroć nieszczęśliwy, raz że musi ograniczyć się tylko do działania we własnej wsi, a co najwyżej okolicy, a powtóre — marzenia jego, by poznać świat, zdobyć wiedzę i sławę, stają się tylko marzeniami.

Nielicznym tylko z tych ludzi udało się choć w części przełamać przeszkody i wyjść na szeroki świat, wyśpiewać własne uczucia lub zadziwić ludzi dalekich własnym talentem, uporem i pracą. I ci na zewnątrz świadczą o potędze, jaka drzemie w masie chłopskiej. Są to ludzie na miarę Ikara i Prometeusza. Proszę tylko przypomnieć sobie Gabriela, chłopca z Poznańskiego, konstruującego własny sa-

molot, albo Płonkę z Zaborowia, rzeźbiarza i pierwszego twórcę dreźny z drzewa, a wreszcie cały szereg malarzy, muzyków, poetów, inżynierów i rzeźbiarzy, których dzieła prymitywne wypełniają kulturę ludową. Rozumie się dopiero wówczas, czym mogliby być ci ludzie dla Polski, gdyby Polska dała im odpowiednie warunki. Niestety...

W mojej wsi żył muzyk, 12-letni Stach. Kiedy miał 10 lat grywał na skrzypcach, które czasem na chwilę dostał od Szeligi. Wcześniej zadawała się piszczałką. Potem jednak chciał grać na prawdziwych instrumentach. I o dziwo! Forwał raz klarnet. Pierwszy raz miał go w ręku i dosłownie po paru minutach próby zagrał wspaniałą pieśń, jakąś swoją, niezrozumiałą, mocną. A potem polki, oberki... Chciał go skrzypek, stary Szeliga, wziąć do siebie, by pomagał mu na weselach, ale Niestety, któż miał pasać krowy? Pasał więc Stach krowy i płakał, a ludzie się śmieli:

— Pewnie go diabeł zaczarował, bo grać ino chce!

Któregoś dnia, gdy wesele było u Franusiaka, zakradł się nocą Stach pod okna i słuchał muzyki. Słuchał długo, ale mu to na dobre nie wyszło. Przeziębził się, nastąpiło zapalenie płuc i dziś sterczy tylko na cmentarzu beszowskim mała mogiłka, nad którą szumią brzozy.

Nie jest to fantazja, ale fakt. A jeśli komuś wydać się on może fantazją, to przytoczę inny przykład: żyje jeszcze po dzień dzisiejszy, znany już zresztą poeta i skrzypek, Jantek z Bugaja (Antoni Kucharczyk). Melodie jego, przez niego wymyślone, słyną na całą okolicę, jako „melodie z Bugaja“.

Znane też są już jego wiersze i książki, choćby takie „Blade kwiaty“, „Wiejskich piosenek czar“ i inne. Jest ich kilka. I dziś dość często słyszy się o nim i mówi, nawet krytykuje się go za to, iż niewolniczo naśladował Konopnicką i Pola. Ale czy wszyscy wiedzą, jak on nauczył się czytać i pisać? Oto — jak sam mi opowiadał — gdy pasał krowy i grywał na piszczałce lub skrzypcach, które sam zmagstrował, marzył o tym, by poznać świat, by zbadać tajemnice, jakie się kryją za słowem drukowanym. Na wsi nikt mu nie mógł pomóc. Dlatego szukał sposobów samodzielnie. I znalazł. Oto wypatrzył, że u księdza w pewnej ubikacji, na gwoździu wiszą różne papiery, a między nimi gazety, książki i jakieś stare kalendarze z rysunkami. Ponieważ bał się wchodzić do tej ubikacji drzwiami, by go nikt nie zauważył, wlaźł od spodu, ową dziurą w ustępie i ściągnął księdzu papiery w tym celu, aby wpatrywać się w długie szeregi liter i obrazki. Zastanawiało księdza, gdzie też podziewają się papiery z gwoździa. Aż raz przyłapał sprawcę. Ale było to już wówczas, gdy Jantek, któremu stary chłop we wsi, umiejący czytać, pokazał litery, znał już abecadło. Ksiądz więc pomógł mu litery składać i... Jantek zaczął nie tylko czytać, ale i pisać książki.

Podobnie przedstawiała się sprawa z Kurasiem, Słomką i wielu innymi, o których już dziś szeroko się pisze. A ilu jest takich, którzy upadli w tym trudzie zdobycia sztuki czytania i pisania? Można ich na pewno liczyć w dziesiątki lub w setki tysięcy na przestrzeni lat... Ja dotychczas takich jak Jantek z Bugaja i jemu podobnych, a więc takich, którzy drogą najcięższą zdobyli sztukę pisania, wyłowilem spośród całej masy twórców ludowej pieśni,

rzeźby, obrazu i muzyki — 163 z całej Polski. A wiem, że jest to zaledwie ułamek tego, co jest naprawdę na wsi. Pośród nich niektórzy żyją w tradycji u ludzi na wsi — przeszli do następnych pokoleń w opowieści. Tak np. przedstawia się sprawa z rzeźbiarzem Ślękiem Józefem z pow. przeworskiego, z Pikulą z pow. stopnickiego i innymi.



O Ślęku np. opowiadają chłopci, że jako chłopak kilkunastoletni dostał się do dworu i pan (Korniakt) wziął go na służbę do paniczów, którzy kształcili się w mieście. Gdy po pewnym czasie panicze przyjechali na wakacje, okazało się, że Józek Ślęk lepiej czyta i zgrabniej pisze niż oni. Rozzłościło to dziedzica i wypędził Józka ze służby. Ślęk wrócił do wsi i zaczął rzeźbić. Rzeźbił świętych, rzeźbił diabłów, ludzi, zwierzęta i drzewa. Ale przy tym setnie urągał na urządzenie tego świata, tak, że aż ksiądz wy-

brał się raz do niego, by grzesznika i gorszyciela nawrócić. Gdy przyszedł do niego i zaczął prawić kazanie, Ślęk nie odzywał się nic, ino trzymał jakąś pałę w garści i spodełba spoglądał na jego-
mością. Minęło pół godziny i ksiądz, wystraszony nieco, bo różne rzeczy słyszał o Ślęku, zaczął ci-
chaczem szukać drzwi. Kiedy już stanął w progu — Ślęk chwycił księdza za sutannę. Wystraszony je-
gomość drgnął, ale Ślęk spokojnie wręczył mu pałkę, którą trzymał cały czas, i rzekł krótko:

— Macie, jegomościu, to za wasze gadanie...

Zdumienie ogarnęło proboszcza, bo oto zobaczył na końcu pałki wyrzeźbioną własną twarz. W czasie jego kazania w izbie, Ślęk to zrobił. Rzeźba ta po dzień dzisiejszy poniewiera się po wsi, jak również poniewiera się masa innych rzeźb Ślęka. Ludzie ino opowiadają sobie różności o tych „stukach“.

Jest i parę innych opowieści na temat prac różnych chłopskich artystów, ale nie sposób o wszystkich tu pisać. Zwłaszcza, że warto zająć się tymi artystami, którzy dziś żyją i działają. Ich warunki, praca i dzieła nie mniej ważne i ciekawe od prac tamtych, z poprzedniego pokolenia. Jest ich cały nieprzeliczony szereg, ale trudno na tym miejscu pisać o wszystkich. Ograniczam się więc tylko do paru co najciekawszych indywidualności.

Znanym w całej okolicy w Przeworszczyźnie, a mało znanym w Polsce — jest malarz chłopski Józef Puchała. Mieszka on we wsi Gać, pow. przeworskiego, i pracuje na pięciu morgach, by wyżywić żonę, syna, ojca i matkę. Kiedy przyjechałem do niego, zastałem go przy malowaniu.

— Cóż nowego robicie? — pytam.

— „Bezdomną matkę“ — słyszę odpowiedź.

Rzeczywiście, na płótnie widzę już zarysy jakiejś drogi, drzew, a w środku pochyloną postać z dzieckiem na ręku. W głębi jakieś koszmarnie widmo i plamy. Zaczęte dopiero...

— Czy to ma wyrażać matkę bez domu, idącą samotnie w szarugę jesienną ową drogą do słońca?

— Nie — uśmiecha się dziwnie i jakby boleśnie mój rozmówca — to ma wyrażać naszą wieś...!

Rozumiem: droga błotnista i ciężka, wokoło koszmarny i widma, a tam na lewo, słońce. Ku niemu idzie nasza dzisiejsza wieś.

Zamyśleliśmy się obaj z kolegą Józkiem i zapatrzyliśmy się w pola. Jesień to już była. Pękate, obmierzłe zwały chmur wlokły się nad światem, jak mokre ścierki, którymi ktoś niewidzialny ociera świat.

Padał deszcz.

W małej chałupinie, dusznej i niskiej, drzemała cisza i spokój.

— Czemu tak mało dziś mówicie? — spytałem tak, aby coś powiedzieć.

— Zamiast gadać, wolę patrzeć na świat. Myśmy, widzicie, dotąd za wiele gadali, a za mało widzieli i robili. Trza z tym skończyć! Widzicie ten obraz?

Prowadzi mnie do ściany, na której wisi dużego formatu obraz. To scena z powieści Kruczkowskiego „Kordian i Cham“. W dole ziemniaczanym stary Adamus, którego tłuką kijami pacholki dworskie. Z boku żandarm w niemieckim mundurze

obojętnie patrzący na polską tragedię. W głębi z gestem litości Deczyński, a obok, okropnie wrzeszcząca o litość kobieta i przytulone, wystraszone dzieci chłopskie...

— To nasza przeszłość...

— A przyszłość?

— Macie ją tu...

Duży obraz. W środku potężny gmach tryskający kolorem i radością. To Wiejski Uniwersytet Orkanowy w Gaci.

Dzieje budowy tego gmachu „na górze“ uwidocznione są w paru obrazach, otaczających sam budynek. A obok tego obrazu — inne: to jakaś postać zrywająca łańcuchy, to znów człowiek z pługiem kroczący w przyszłość, jakiś potężny, zbiorowy marsz chłopów ze sztandarem i pieśnią, to znowu szopka, zwyczajna szopka, z jaką chodzą kolędnicy. Tylko... że w środku, na tronie, zamiast „Heroda“ siedzi „kapitał“.

— Co właścicie chcecie pokazać w swoich obrazach?

— To, co widzicie. Ale to mało. Żeby to można pokazać to, co się czuje! Niestety. Dzień i noc ligom z jednym i z jednym wstają: malować! Ale, żeby to człowiek mógł na papierze pokazać to, co w środku, w człowieku się rodzi! Nie można. To, co widzicie, to ino śmiech z tego, co chciałbym malować...

— Co?

— Pokazać prawdę. Ale i to, co rodzi się w głowie, gdy człowiek myśli o przyszłości, wydaje mi się, że gdyby chłopci najpierw na obrazach, na scenie

i w pieśni ujrzeli swoją przyszłość, swoją ideę, to ona i w życiu stałaby się naprawdę. Tak se już od dziecka myśle, że trzeba coś wsi pokazać naumyślnie, by ona zaczęła coś robić naprawdę.

— Kiedy wyście zaczęli malować?

— O, to dawne czasy. Miałem coś 6, czy 7 років, gdy siostra przyniosła z miasta jakąś gazetę. Pomięta ona była, bo służyła do opakowania butów. Ale znać na niej było rysunek: „Kobieta i goryl“. Jak to zobaczyłem, aż zadrżałem. Tak się coś we środku zrobiło, że chciałem malować. Ukradłem więc tę gazetę, uciekłem z nią za stodołę i tam, węglem na kamieniu odrysowałem ten obraz. Potem, kiedy już poszedłem do szkoły, zaczęło się piekło: wszystkie kajety miałem porysowane różnościami. Najwięcej odrysowałem tych obrazków, które pokazywał nauczyciel. Ale dostawałem za to wciąż w skórę. Bił nauczyciel i bił ojciec za to, że niszczę papier zamiast się uczyć. Nie biorę im tego za złe, bo rozumiem, że papier jest drogi, a ojciec na nowe zeszyty nie mieli...

Potem dostawałem w skórę za to, że zamiast popaść krowę lub pomóc w robocie rysowałem, a jeszcze potem za to, że kradłem jajka i grosze na to, by sobie kupić kredki lub farby...

— A kiedy się to „branie w skórę“ skończyło?

— To było tak: był tu u nas taki koszykasz, Poszywak się nazywał. On wziął raz mój obraz i sprzedał w mieście. Przywiózł zań parę złotych. Kiedy ojciec zobaczył, że tak można zarabiać — przestał dawać mi lanie. Odtąd rzeczywiście zacząłem zarabiać. Malowałem coraz to nowe obrazy i od-

stawiałem do Łańcuta, albo do Przeworska, lub nawet do Rzeszowa, i zawsze parę złotych kapnęło. Ale szły one na farby, na płótno i papier. A czasem i na to brakło. Raz nawet, kiedy już nie miałem na farby, zrozpaczony zupełnie wziąłem paletę, położyłem na pniaku i porąbałem w drobne kawałki siekierą. Po-
stanowiłem skończyć z malowaniem. Ale upłynął jakiś czas, a ja tak się czułem, jakby mi kto rękę odjął. Nie wytrzymałem. Pojechałem do miasta, kupiłem farby i znów zacząłem malować. Wiele pomogła mi teraz wystawa, jaką na wiosnę urządzono w świetlicy Koła Młodzieży. Odtąd coraz częściej zdarza się, że kupują na okolicę moje obrazy do świetlic, do domów ludowych, gminnych itd. To mnie trochę ratuje.

— No, dobrze, ale czy nie uważacie, że trza by się trochę kształcić?

— Ach, ale jak? Skończyłem zaledwie 4 klasy szkoły powszechnej i nawet nie mam ochoty iść dalej. Ot, czytam dużo. Ale jednego ino w życiu pragnę: zobaczyć choć raz prawdziwy obraz, przez prawdziwego malarza namalowany. Żebym tak mógł choć raz wyrwać się do Krakowa lub do Warszawy, bo tam podobno są takie wystawy, gdzie można widzieć różne obrazy.

Zamyśliłem się nad tym, co przed chwilą powiedział Puchała. Wiem przecież, że istnieją różne stypendia, pomoce, ale czy one sięgną tam, gdzie w tej chwili artysta chłopski, karmiący swą duszą całe wsie okoliczne, marzy o jednym: by zobaczyć prawdziwy obraz? O ile w szczęśliwszym położeniu jesteśmy wszyscy, którzyśmy wyszli z chałup, strawili

(o ile można strawić) tzw. „sztukę“ mieszczańską, poznali ją i odwrócili się już od niej, by znowu związać się pracą ze wsią rodzinną, by znowu na wsi móc zobaczyć ów prawdziwy obraz. Wieś dzisiejsza ma już takie obrazy. Wychodzą one spod pędzla Puchały i wielu, wielu innych, którzy jak on szli drogą najcięższą, niosąc w sobie bóle i udręki własnej wsi po to, by wreszcie światu te bóle pokazać. I wieś dzisiejsza woli te obrazy bardziej, niż wszystkie inne. Docenia w nich to, że one są jej i z niej wyszły. Dlatego w domach ludowych i w świetlicach, a nawet w prywatnych chałupach coraz częściej na ścianie zawisa obraz malarza chłopskiego, coraz częściej na wieczornicach i w święta ludowe rozbrzmiewa prosty wiersz lub śpiewka zrodzona na wsi. Sama wieś, własnymi siłami zaspakaja własne potrzeby kulturalne, bo nie myśli zniżyć się do sztuki zrodzonej wśród burżujów w kawiarni, w atmosferze rumb, tang i foxtrottów. Ale też dlatego śmiesznym dziś na wsi byłby na starą modę pisany wiersz „ojdanowaty“, śmiesznym byłby płacz Konopnickiej i śmieszne byłyby obrazki malujące kolorowego, potulnego kmiotka, czekającego na łaski.

W sztuce artystów chłopskich widać to, co daje się widzieć w życiu ogólnym współczesnej wsi: odrzucenie taniej tklivości, pływaczny i niepotrzebny nikomu bawienia się kolorem czy słowem, a wprowadzenia tradycji działania gromadnego, społecznego, ujmowanie tej tradycji w nową, współczesną formę. Ma ona, ta sztuka prostych ludzi, wiele serca, łez i nadziei, ale wszystko to zlewa się w jedną całość. A całości tej imię — walka o Polskę Ludową.

O taką Polską, w której by sztuka prostych ludzi, chłopów i robotników, stała się „sztandarem sztuki narodowej“. Wówczas nie będą ginąć talenty chłopskie i robotnicze.

Polskę będzie znać wśród narodów!





ŁUDZIE IDĄCY SAMI...

TEN tylko człowiek wniesie wartość do gromady, który sam, nie oglądając się na nikogo, stwarza rzeczy wartościowe. Z takiego człowieka i gromada ma pożytek i on sam prędzej się czegoś dorobi. My na wsi przywykliśmy zanadto narzekać i opuszczać ręce, za mało jest wśród nas takich, którzy by powiedzieli sobie: dość narzekań, muszę stworzyć sobie lepszy byt! Mało jest takich co tak mówią i czynią, ale są jednak. Popatrzcie ino po swoich wsiach i okolicy, a znajdziecie ludzi, którzy w młodości nie mieli prócz gorącego pragnienia by żyć inaczej. Ciężkie było ich życie: często w służbie, często na emigracji gdzieś we Francji, Ameryce, czy na Saksach, przechodzili wprost piekło, opadały im ręce strudzone w pracy, gnębiła ich tęsknota za swoimi stronami, wśród obcych płynęło ich życie powoli a w trudzie po to, by w końcu cel swój osiągnęli.

Wracali do kraju i stwarzali własny warsztat pracy. Podobnie przedstawia się sprawa z inteligentami, synami chłopskimi, którzy dziś po miastach siedzą na posadach, „na lżejszym chlebie“ niż na wsi. Czy wszyscy na wsi zdają sobie sprawę z tego, ile owi ludzie przeszli w życiu? Ile poniżeń, upokorzeń, głodu, chłodu, męki i pracy, by wreszcie osiągnąć swój cel: wykształcenie. Nie chcę wspominać własnych przeżyć z okresu, kiedy się było w gimnazjum i na uniwersytecie i gdy człowiek jedyną pomoc z domu miał w słowach: „niech ci Bóg da, dziecko, jak najlepiej“ — ale przypominam sobie życie innych. W gimnazjum to ta jeszcze czasem tatuś przywieźli „prowianty“, mamusia czasem w płachcinie jakiś serek, masło i kawałek razowego chleba, z którego się miasto śmiało, ale już na uniwersytecie trzeba było liczyć na własne siły: uczyć innych, sprzedawać gazety, nosić węgiel, cegły lub po prostu głodować. Chłop jednak jak się uprze — to przecierpi wszystko i do celu dojdzie. To już jest takie dziwne prawo prostych ludzi. Chodzi ino o to, by w nich odezwała się jakaś chęć, by tę chęć wzбудził ktoś, czy coś, w ich sercu i duszy i — by ujrzeli s w ó j c e l.

Chodzi jednak o jeszcze jedno: o pomoc gromady, o z e s p ó ł ludzi, którzy by człowiekowi dążącemu do jakiegoś celu dopomogli. Tymczasem na wsi, i wszędzie, jest tak, że skoro znajdzie się jednostka, która chce coś zrobić dla siebie czy dla gromady, wówczas ogół śmieje się i drwi z takiej jednostki.

— O! — powiadają ludzie — w głowie się mu przekręciło. Zamiast żyć tak jak wszyscy, spokojnie, on chce coś nowego!

— A głupi i już — mówią jedni.

— Nie, nie głupi, ino zarozumiały — mówią znów drudzy.

Przekonać jednak wszystkich o swoich słusznym zamierzeniach — to rzecz ważna. A przekonać można tylko wówczas, gdy się ma szczerą wolę poprawienia życia. Ludzie początkowo mówią, później obserwują, a wreszcie zgłaszają się do współpracy. Tak jest w początkach z zespołami PR, tak jest z kołami młodzieży i tak z każdą nowością, którą na wieś, do gromady ktoś wprowadza.

Niechęć i uprzedzenie ogółu, gromady, brak zespołowej, wzajemnej pomocy zniechęca jednak ludzi tak dalece, że opuszczają ręce i choć by mogli coś dla wsi zrobić, dają spokój wszystkiemu i siedzą cicho. W ten sposób gromada często marnuje najwartościowsze jednostki, przez co cierpi sama. Zdarza się jednak czasem, że jednostka mimo wszelkich przeszkód prze naprzód. Rodzi się w duszy takiego człowieka jakaś siła i ona pcha go naprzód, aż do zwycięstwa. Zwycięstwo przychodzi zwykle w późnym wieku, a czasem dopiero aż... po śmierci. Dopiero mogiła często przypomina ludziom, że wśród nich żył człowiek.

Nie rozumieli ludzie za życia Edisona, wielkiego wynalazcy lamp elektrycznych i setek innych wynalazków, nie rozumieli odkrywcy praw świata Kopernika, nie rozumieli tego, który pokazał nowe światy i nowe życie — Kolumba i... nie rozumieli tysięcy innych. Ci jednak szli do celu i cel osiągnęli. Często w bardzo ciężkich warunkach, bo najczęściej byli to ludzie prości: synowie wyrobników, chłopów i robotników. A wiemy już jakie to są drogi tych ludzi, gdy chcą dojść do wytkniętego celu. Można

by mówić o tysiącach, wspomnę jednak tylko o jednym, o pisarzu głośnym dziś na cały świat, o Hamsunie. Życie jego, jak życie bohatera „głodu“, było jednym pasmem głodu, nędzy i poniewierki. Prosty człowiek, pragnący pisać, wypowiedzieć światu to co serce i dusza jego czuje, musiał jako młody chłopak wygrzebywać ze śmietników kości, które ludzie wyrzucali. Żył z odpadków, żył resztkami, ale w duszy jego i sercu żyła nowa idea, która miała zaciążyć na całym świecie. A ideą tą jest tłumaczenie światu, że najmocniejszy jest ów człowiek zrośnięty z ziemią i najmocniejsza, wieczna jest kultura tego człowieka. Pisaniem i własnym życiem Hamsun udowodnił to wszystkim tym, którzy zbliżyli się do jego książek i którzy poznali jego życie. Ale po co szukać przykładów tak daleko i u ludzi tak wielkich? Przecież na każdej wsi, a już na pewno u nas w Polsce w każdej okolicy można znaleźć człowieka, który w najcięższych warunkach potrafił „wybić się“, wyrósł i stać się znany, i to nie tylko w swojej okolicy, ale nawet i w całej Polsce, a nawet w świecie.

Nie tak dawno w gazetach pisano wiele o Antonim Gabrielu, chłopie z Poznańskiego, który uparł się i postanowił wybudować własny samolot. Oczywiście gromada śmiała się z niego, drwili ludzie i mówili, że aeroplany może budować tylko inżynier, człowiek wykształcony. Gabriel zapewne cierpiał z tego powodu, ale jeszcze więcej się zaciął. Postanowił czytać książki, dowiedzieć się z nich jak to się buduje samoloty, a kiedy poznał zaczął budowę. Dwa lata męczył się nad tym, aż wreszcie parę miesięcy temu wyprowadził swoją maszynę na błonia. Zlecieli się ludzie ciekawi. Czekali. Gabriel siadł do samolotu i... ruszył!

Wzbił się w powietrze, do słońca!

Oderwał się od codzienności, od ziemi!

Dopiero wówczas otworzyli ludzie gęby: — o! — mówiono — a dyć to człowiek genialny!

Prosty chłop — pisały gazety — a przestworza własnymi siłami pokonać potrafi!

Dziś już Antoni Gabriel jest w szkole pilotów-mechaników i na pewno będzie z niego dobry konstruktor.

Trzeba aż ponad ziemię, ku słońcu się wznieść, by ludziom siebie pokazać!

Takich talentów ginie na wsi wiele. We własnej gromadzie nie znajdują pomocy, sami nie mają sił na tyle, by przeszkody pokonać i dlatego giną. Pozostaje tylko po nich pieśń, opowiadanie, nuta lub rzeźba i rzeczy te świadczą o żywotności, o twórczych siłach wsi. One to stwarzają tzw. nieznaną kulturę ludową. Rzeczą zespołów i gromad chłopskich jest dźwigać tę kulturę, podnosić, by świat wieś zobaczył i by wieś zaczęła więcej wierzyć w swe własne siły. Pojedynczemu człowiekowi na wsi ciężko to przychodzi, ale gdy się znajdzie gromadka młodych a mądrych ludzi, mogą oni wiele we wsi zmienić na lepsze.

Tysiące przykładów mógłbym przytoczyć, a wszystkie one jedno mówią: człowiek na wsi stwarza i stwarzać może rzeczy potężne, chodzi tylko o to, by uwierzył we własne wartości i by poczuł w sobie potrzebę tworzenia!

A skoro znajdzie się już taki człowiek, rzeczą gromady i zespołów jest pomóc mu jak bratu. Skoro jest mu ciężko, niech gromada zamiast drwić, przyjdzie mu z pomocą. Wówczas każdy będzie mógł powiedzieć, że wieś jest prawdziwą rodziną i że jej

kultura naprawdę jest wielka, bo nie zabija talentów, ale je ożywia. Myślę, że tak jak w sztuce i w ogólnej kulturze, tak samo przedstawia się sprawa i w kulturze rolnej. Skoro jeden człowiek, czy grupa ludzi chce wprowadzić jakieś ulepszenia, dźwignąć gospodarkę wsi i dźwignąć przez to wieś — to napotyka w tym na różne przeszkody. Skoro jednak zawieźmie się w sobie, skoro świadomie zrozumie do czego dąży — zrobi swoje.

Trzeba nauczyć się pokonywać przeszkody tak, jak pokonywali je ci, którzy poprzez największe udręki i trudy szli do celu. Zwyciężyli, bo zwyciężyć musi każdy, kto w imię kultury tworzy nową rzeczywistość, kto dźwiga do lepszego życia siebie i własną gromadę.





SAMOTNIK I PIERONY

(CZYLI O FILOZOFII LUDZI ROLNYCH)

NAZYWAŁ się Paluch, ale w naszej wsi nazywali go wszyscy „Samotnikiem“. Chyba dlatego, że zawsze chodził sam i żył samotnie na dożywociu. U zięcia miał w komorze kąt, w którym postawił sobie piecyk, zmajstrował z topoli zydel i stół oraz drewnianą łyżkę i sam, w małym rondelku gotował dla siebie jedzenie. Mówiono o nim, że żyje już sto lat i że pamięta wojny różne, pańszczyznę, a nawet podobno znał Jakuba Szełę, o którym dużo nieraz mówił. Lubił on strasznie dzieci i z nimi nieraz na błoniu siedział całymi godzinami. Opowiadał im przeróżne historie. Zastłuchane dzieciiska otwierały szeroko buzie i oczęta, a gdy przerwał na chwilę, prosiły: „dziadku, a co dalej?“

Opowiadał im o tym jak się robi wiosnę, jak można z piór zrobić śnieg, że w lecie drzewa z sobą rozmawiają i jak ludzie żyć powinni, żeby na świecie było lepiej.

Pamiętam, jednego razu przyszedł do nas na błonia, siadł koło przykopy i zaczął opowiadać o tym, że wynalazł sposób na skrócenie dnia. Śmiał się przy tym, a myśmy go prosili, by nam powiedział, jak się to robi, żeby dzień był krótszy. Chodziło nam bowiem o to, by jak najprędzej nadszedł wieczór, byśmy mogli bydło z błonia zagonić do stajen. „Samotnik“ roześmiał się i nazwał nas próżniakami. Nalegaliśmy jednak usilnie, by nam opowiedział o swoim wynalazku. Począł mówić, że można zmajstrować z wikliny długi, bardzo długi patyk, wystrugać na nim żniwa, ludzi pracujących, krowy, drogi, lasy, rzeki, chałupy, cały świat, i z tym patykiem trzeba wejść na kalenicę, wyciągnąć rękę ku słońcu i tym patykiem popychać je, a zaraz dzień się skróci! Próbowaliśmy to robić i — rzeczywiście tak nam schodził czas przy tym, że zdawało nam się, iż słońce szybciej zachodzi. Paluch widocznie sam wierzył w swój wynalazek, bo widzieli go nieraz ludzie, jak wychodził za stodołę w czas rano i długim patykiem popychał słońce. Czynił to zwykle na wiosnę. Kiedy pytali go starsi co on robi — tłumaczył, że chce wyżej pchnąć słońce, by cieplej było we wsi... Oczywiście śmieli się z tego i opowiadali wszystkim o tym, jak to Paluch słońce popycha patykiem. Ale on wierzył, że rzeczywiście to czynił!

Innym znów razem kozikiem wystrugał figurki zwierząt, ludzi, rzeczy i rozdawał dzieciom tłumaczając, że rzeczy te żyją i rozmawiają ze sobą, ino trzeba się ich mowy nauczyć, by je zrozumieć! Dlatego często na błoniach wsłuchiwalismy się w szepkanie wierzby i topoli, ale jakoś nie mogliśmy zrozumieć, co te drzewa gadają.

Wciąż ino szumiały.

Paluch jednak tłumaczył, że drzewa, krzaki, trawy i zboża żyją, że rozmawiają ze sobą, ale człowiek tej mowy nie rozumie.

Uwierzyliśmy w to wszyscy.

Dlatego każde z nas przestało łamać gałęzie drzew, przestało niszczyć kwiaty i zboża, bo uwierzyliśmy, że rośliny cierpią. Stary „Samotnik“ okropnie się cieszył z tego. Powiadał do nas często:



— Jeżeli przez całe życie będziecie żyli w zgodzie z wierzbami, topolami i sosną, to one wcześniej czy później nauczą was swojej mowy i będą z wami gadać jak ludzie!

— Jak ludzie?

— Tak!

— Co prawda — dodawał zwykle „Samotnik“ — to i ludzie jeszcze swojego gadania nie rozumieją i dlatego źle z sobą żyją!

I myśmy nie rozumieli o co chodziło staremu Paluchowi, gdy tak gadał, ale czuliśmy, że sercem on

przemawia, dlatego złość nas brała na starszych i na niektóre dzieci, które śmiały się z mowy „Samotnika“. On jednak ani ze śmiechu, ani z przezywania nic sobie nie robił.

Cóż, ludzie są ino ludźmi! Oni nie potrafią żyć z sobą w takiej zgodzie, jak na ten przykład drzewa, które się z sobą nigdy nie biją. Kiedy wiatr praśnie w jedno drzewo, to ono się ino przechyli i oprze na drugim, zaś to drugie na trzecim, czwartym, setnym i tak razem, w gromadzie, dają sobie radę, że wiatr je nie łamie.

— Ludzie to by tak nie potrafili! — mawiał „samotnik“. Bo niechby ino jeden człowiek oparł się o drugiego, to ten drugi zaraz by wołał: „te, kup se trupa za grosz i na nim się opieraj!“. No, ale też dlatego ludziom jest gorzej na świecie niż drzewom, i więcej jest ludzi połamanych niż drzew.

Takimi słowy kończył prawie zawsze swe opowieści stary Paluch. Myśmy go wszyscy strasznie lubili, dlatego często pytaliśmy go, czy się mu nie przykrzy tak samemu mieszkać w komórce. Chcieliśmy bowiem przychodzić do niego i z nim razem spędzać czas, żeby się mu na starość nie nudziło.

Stary „Samotnik“ odpowiadał nam jednak, że człowiek na wsi nigdy sam w izbie nie siedzi. Tłumaczył nam, że gdy rzekomo sam chodzi po komórce, przychodzą do niego przez drzwi (zawsze one są otwarte) lub przez małe okienko, drzewa, zboża, szmery, śpiew ptaków, jednym słowem cały świat!

Czasem i ludzie przychodzili do małej izdebki. Ale tych niechętnie u siebie widział „Samotnik“. Gdy raz wszedł ktoś przez otwarte drzwi i nie zastał

w izbie nikogo — zabrał „Samotnikowi“ drewnianą łyżkę. Ukradł ją!

— Żadna rzecz — mawiał Paluch — krzywdy człowiekowi nie robi, ale człowiek to czyni często szkodę. Dlatego trzeba, by ludzie patrzyli na życie drzew, ptaków i zwierząt i od nich żyć się uczyli, wówczas byłoby i jaśniej i lepiej żyć na świecie!

Sam „Samotnik“ nikomu we wsi nigdy nic złego nie zrobił, przeciwnie, dzieciom skracał czas opowieściami, starszym zaś opowiadał przeróżne historie z przeszłości i udzielał rad na przyszłość. Najczęściej potrzebny był ludziom w czasie żniw. Wówczas bowiem niejeden we wsi, skoro zboże miał na polu, niepokoił się o pogodę. W takim wypadku szedł do Palucha i pytał, czy będzie deszcz, czy słońce na drugi dzień. „Samotnik“ patrzył wówczas długo w niebo, wsłuchiwał się w pogwar drzew, w śpiew ptaków — i jakby te dźwięki przemówiły do niego ludzkim językiem, mówił:

— Drzewa gadają, że będzie pogoda.

Albo znów:

— O, ptaki dziś przepowiadają deszcz. Trawa coś szeptem o burzy...

I nigdy słowa jego nie zawodziły. Zawsze było z pogodą tak, jak przepowiedział „Samotnik“. Cenili go za to ludzie we wsi. On wiedział o tym i cieszył się z tego bardzo.

„Samotnik“ chodził zawsze uśmiechnięty i wesoły, a wesołość jego i uśmiech udzielały się całej wsi. Ale nawet i na jego twarzy widzieli ludzie smutek i zatroskanie. Działo się to zawsze wówczas, gdy dowiadywał się, że ktoś we wsi znęca się nad zwierzętami. Wtedy smutniał stary „Samotnik“ i znać

było, że cierpi. Cierpienie to jednak nie uzewnętrzniało się u Palucha tak, jak wówczas, gdy nad światem jawiły się groźne, czarne chmury. Skoro gdzieś daleko odezwał się pierwszy grzmot — Paluch dziwnie był niespokojny i nawet jakby zły.

— Psiopara! — mawiał wówczas — że też człowiek nie może dać rady tym pieronom.

— Komu?

— Pieronom! O, już bestie idą, już się złoszczą, zgrzytają zębami. Hej, żeby tak człowiek mógł te pierony złapać do garści, osiadłać je jak konie, to by dopiero było życie! A tak — na szkodę to ino tłucze się po świecie.

Tak mawiał często przed burzą i po burzy stary „Samotnik“.

Nieraz przestawał zupełnie mówić o piorunach i w ogóle przestawał obcować z ludźmi. Kiedyś stało się to nagle i niespodziewanie. Zdarzył się wypadek w naszej wsi. Było to w lipcu, albo też w sierpniu. Nie pamiętam dokładnie dnia, ale pamiętam, że już od rana rozsiadła się nad światem jakaś dziwna duszność. Prażyło słońce i ucichł wiatr. Zdawało się, że nagle świat zastygł w upale. Nawet ptaki przestały śpiewać, a tylko gdzieś na poddaszach czyniły jazgot jaskółki. Gdzieś koło południa odezwał się dziwny, przeciągły grzmot. Tak, jakby ziemia jęczała. A po tym drugi, trzeci, czwarty i wreszcie od zachodu wyszła czarna, potężna chmura. Szła ku naszej wsi. Wiatr, który dotąd siedział gdzieś cicho, teraz poruszył parę razy drzewami i... znikł. Była cisza, ino gdzieś z oddali szum potężny, grzmot i jakieś potworne jęki zbliżały się ku wsi. Nagle runął wicher, zatargał drzewami, zawył na drogach, roztańczył się w kurzawach i niby szatan wył z uciechy. Zdawało się, że świat cały

roztańczył się wichrem w przestrzeni. Ucichł wreszcie, a z grubych chmur upadły pierwsze, duże, gorące krople. Zaledwie dopadły ziemi, a już nad światem rozszalała się burza: wichur, grad, deszcz, a wreszcie pioruny roztańczyły się wściekle i niby szaltany hulały. Ludzie, pokuleni w izbach, zaświecili gromnice, pozatykali okna i drżeli ze strachu. Wtem jak gwizd bata rozległ się dziwny sygot, a potem



trzask niemiłosierny. Zanim ludzie zdążyli się rozejrzeć, już w środku wsi płonął dom i stodoła starego Tłomaka. Wybiegli ludzie z chałup. Z czym kto mógł pędził na pomoc, ale zanim się człowiek zmierzył z ogniem, już ten ostatni zatknął czerwony sztandar na drugiej, trzeciej, czwartej chałupie.

Płonęły domy, stodoły i stajnie.

Ogień, jak rozjuszony byk, rzucał się na wszystkie strony, walił łbem w strzechy, w drzewa, w stogi, targał w strzępy ludzkie siedliska, trzeszczał niemiłosiernie z wściekłości i rzucał snopy iskier na cały świat. Podbiegli do niego ludzie z bosakami,

z siekierami, wyrywali mu ofiary, a on ich gonił, dopadał i najczęściej zwyciężał.

Ozwała się trąbka, jedna, druga, trzecia...

To straż ogniowa z sąsiednich wsi szła z pomocą.

Nadjechały sikawki. Strażacy z oszczepami dopadli do ognia. Zatrzymał się i jakby przeląkł się ludzi. Raz jeszcze dźwignął głowę, zdziwione oczy wybałuszył i wpatrzył się w dziwnych ludzi:

— Co to? — zdawał się pytać.

— Skąd ci ludzie?

— Kto ośmielił się wyjść do walki ze mną?!

Ale strażacy zamiast odpowiedzi częstowali go sikawicami wody, wydzielali mu z paszczy osmale, dobijali go, kładli na ziemię i deptali. Zwyciężyli!

Zorganizowany człowiek mocniejszy jest niż ogień! Zrozumiał to zwyciężony płomień i, choć jeszcze raz usiłował dźwignąć się — upadł. Westchnął jeno. Kurzawa wzniosła się w powietrze. Ogień skonał. Legł pośród gruzów i zgliszcz.

Przy ruinach, obok zgorzelisk stali ludzie. Słychać było szloch i narzekania. Wpatrywali się w kupy popiołu i płakali. Ale wśród nich jeden człowiek nie płakał. Patrzył długo w pogorzeliska, wsłuchiwał się w szum wiatru i w szloch ludzki, wreszcie, jakby sam do siebie, powiedział:

— No tak, trza się zabrać do tego!

„Samotnik“ te słowa wypowiedział. Później mówili niektórzy, że gdy wzniosł głowę do góry, popatrzył chwilę w niebo i pogroziwszy pięścią chmurom i piorunom, poszedł do swojej komórki.

Odtąd przez całe tygodnie nie wychodził ze swojej komórki. Dziwili się wszyscy, co się mu stało, a niektórzy przychodzili nawet do niego i pytali:

- Cóż wam to, dziadku, że tak od ludzi stronicie?
— E, nic ta takiego.
— Jakże tak wciąż samemu?
— E, bo ja to sam, mój drogi. Nie sam ja tu siedzę, ale z myślami!
— No?
— Trzeba dać radę pieronom, żeby nie było na świecie tyle szkód i krzywd ludzkich, żeby co złe jest zginęło...



— Jakże to?

Ale już stary „Samotnik“ nie odpowiadał. Całymi dniami siedział w swej komórcie i myślał. A po pewnym czasie — widzieli to ludzie — zaczął robotę: oto wśród wiklin wyszukał długie kije, zesztukował je, powiązał, wyrzeźbił na nich jakieś figurki kozikiem, a wreszcie kozik ten wyostrzył i przywiązał do końca kija. Powstał długaśny patyk z błyszczącym na końcu kozikiem. Ten to patyk

któregoś dnia przywiązał do wysokiej topoli, a topolę okręcił drutem. Jeden koniec drutu przywiązał do patyka, a drugi połączył ze starym garnkiem leżącym na śmietniku.

— Co to? — pytali ludzie.

— To „śpikulec na pierony“! — odpowiedział Samotnik“.

— Jakże to, chcecie patykiem przepomóc pierony?

— Ej, a dy nie samym patykiem! Patrzcie ino: gadają ludzie, że pierony biją w ostre żelazo, no to niech się ta z nimi drażni kozik. A jak już one w ten kozik rypną, to chycą się drutu i po tym drucie zlecą do śmieci.

Wieść o tym, że stary „Samotnik“ zrobił „śpikulec“ na pioruny rozeszła się szybko po wsi i po okolicy. Przychodzili ludzie, oglądali ten wynalazek i czekali, co też to będzie, gdy przyjdzie burza.

Jakoż gdy przyszła, ominęła „śpikulec“. Pioruny, jakby na złość były dookoła. Jeden z nich nawet uderzył w pobliską wierzbę, ale „śpikulec“ napróżno drażnił je ostrzem kozika.

Zaczęli ludzie śmiać się z „wynalazku“ Palucha. Niektóre dewotki nawet gadały, że to obraza Boska a nie wynalazek, bo kto widział, żeby człowiek zamiast modlitwy patyk wystawiał przeciw piorunom! Ale stary „Samotnik“ nic sobie ze śmiechu ludzkiego ani z mówienia nie robił. Jego dręczyła inna myśl: że oto nie dał rady piorunom.

— Już widać — mówił nam raz na błoniu — człowiek nie pokona zła. Widać mocniejsze są pierony...

Odtąd był coraz smutniejszy. Smutek jego powiększył się jeszcze, gdy ktoś z młodych ludzi po

odbyciu służby wojskowej w mieście wrócił do wsi i powiedział, że w mieście już są takie druty, dające radę piorunom.

— Jakie też one? — pytał ciekawie Paluch.

— Juści takie jak wasz śpikulec! Inne, bo pomagają, bo łapią pierony...

— Takie powiadasz?

— Juści że takie, ale inne...

— A jakie?

Ale rekrut nie umiał wytłumaczyć. To też stary „Samotnik“ o jednym już odtąd myślał:

Wybrać się do miasta i tam zobaczyć, jak też to człowiek tamtejszy dał radę piorunom!

Przygotowywał się już nawet do drogi, na dłuższą wędrówkę, ale któregoś dnia nie wyszedł już ze swojej komórki.

Gdyśmy przyszli do niego, leżał na wyrku chory. Majaczył. Opowiadał, że jeszcze przyjdzie czas, że on, Paluch, wyjdzie z Nadwodzia, pójdzie w świat szeroki, do miast nieznanych, i sprowadzi „śpikulec“. Nie wierzyliśmy już w to, bo z dnia na dzień był słabszy. Przepomogły go pioruny. Sam widać to zrozumiał, bo raz (pamiętam to dobrze) zagadał do mnie:

— Wis, Wojtuś, idź ty do skół i nauc się. Nauc się dać radę pieronom. To będzie wielgo rzecz! Jak to potrafis zrobić, to całkiem zniknie ze świata zło. Jo, widzisz, muse jus iść z tego świata, pierony mocniejsze so od chłopca.

I stary Paluch zasnął któregoś dnia na wieki.

Odtąd w naszej wsi było smutno. Każdy odczuwał brak „Samotnika“.

Często na błoniu opowiadaliśmy sobie ze smutkiem, że jakoś czas idzie powoli, wieczór nie nad-

chodzi, nie ma komu słońca popychać, by prędzej zaszło. Ludzie w naszej wsi już mniej się śmieli, a my z powrotem, jak dawniej, zaczęliśmy łamać gałęzie i deptać kwiaty. Starsi zaczęli się kłócić, a nawet któregoś dnia znów z jednej chałupy zginęła drewniana łyżka.

Dzisiaj już w naszej wsi każdy wie, co to piorunochrony. Z miasta już przyszły zegarki, a nawet radio rozbrzmiewa w chałupach.

Brak jeno jeszcze „śpikulca“.

Po dzień dzisiejszy wieś jeszcze rady nie dała piorunom.

Dlatego gdy dzisiaj patrzę na naszą wieś, widzę że ludzie żyją inaczej niż drzewa. Na próżno mawiał stary „Samotnik“, iż człowiek może nauczyć się mowy świata, na próżno tłumaczył, że słońce można popychać patykiem. Również na próżno namawiał, by chłopscy synowie szli do miast nauczyć się wielu rzeczy po to, aby wrócić na wieś, do swoich i własną wieś obronić przed nieszczęściami.

Niestety.

Pioruny nadal biją w chłopskie chałupy!





I

CHŁOPI NAD SANEM

DZIWNE się rzeczy spotyka na wsi. Okrzyczana bieda stała się sensacją dla dziennikarzy i ludzi żądnych sensacji. Nic jednak w nędzy ludzkiej nie ma ciekawego dotąd, dokąd nie zauważy się, że człowiek w najgorszych warunkach stwarza potężne rzeczy. To też gdy w swojej wędrówce po wsiach zatrzymałem się, by w środek życia wsi zajrzeć, by odsunąć pawie pióra, pstrokate stroje i dekoracyjne brzękadła a zajrzeć do wnętrza istotnych spraw życia polskiego chłopca, wychodziła na przeciw potężna zjawia: tragedia wyrównania. Tragedia ta żyje od wieków wśród wszystkich tych ludzi, którzy w gromadzie wiejskiej pragną coś stworzyć, przemienić życie, ulepszyć świat. Zapomniani, nie zauważeni, giną, by po nich została gromadna kultura, nad którą kiedyś ślęczyć będzie jakiś etnograf. O, gdyby wieś nie była tylko przedmiotem badań, ale współ-

twórcą polskiej kultury — Polska znalazłaby własną treść i najzdrowszy, najświeższy w świecie wyraz!

Niestety, talenty giną w polskich wsiach.

I to jest tragedia wyrównania, tragedia ludzi prostych, dla których stworzenie lepszego życia jest takim samym prawem, jak prawo Sanu.

Takie czucia wdarły się w moje serce i takie myśli opanowały głowę wówczas, gdy od „tragedii wyrównania“ przeszedłem w inny obszar naszego życia — w prawa, którymi żyje człowiek rolny, polski chłop. Prawo to płynie z wnętrza ziemi, z mądrości przyrody, w której jest ład, porządek niewzruszony, i pośród której nic się nie dzieje według teorii „mędrców“, szeleszczących papierków i wiecznie zmieniających a bezdusznych paragrafów.

Bytakich praw szukać, wybrałem się w takie okolice Polski, gdzie właśnie strój, dekoracja, zewnętrzność życia chłopskiego nie zdążyły jeszcze zaćmić prawdy chłopskiej: istotnego życia.

Taką właśnie okolicą, nie rozkrzyczaną, nie reklamowaną i nie spartaczoną przez różnego rodzaju „ludoznawców“, jest tarnobrzeski okręg ziemi, której kultury na szczęście nie obwozi się jeszcze po miastach „na pokaz“. Tam można widzieć prostego człowieka i jego kulturę nie nakrytą jeszcze przez podręczniki i książki „pasiakami“, ani nie wypaczoną przez różnego rodzaju piosenkarzy „ojdanowatymi hojrami“.

Tam tylko płynie San, a z lewej i prawej jego strony rozciągają się wielkie przestrzenie ziemi. Równa i prosta ta ziemia. Równa, prosta i szczerą jest pieśń ludzka tam zrodzona.

Jakaż to jest ta pieśń?

Pozornie szara i prosta, jak każda pieśń ludu, pozornie cicha i smutna, jak pole równinne, lecz w gruncie rzeczy najgłębsza i najgłośniejsza jest ta pieśń — pieśń Sanu.

Płynie on sobie spokojnie i dumnie, rozkłada się wśród równin jak człowiek w cieniu po pracy, wypoczywa po buntach, po szumie i huku na skałach górskich. Pozornie wypoczywa, a jednak wciąż płynie do celu.

Kiedy od strony Mielca, poprzez Baranów, autobusami i furmankami zbliżałem się do Sanu, dziwny niepokój chwycił mnie za gardło.

— Czy tu już ludzie przestali śpiewać? — pytałem furmana.

— A komu chce się dziś śpiewać? — słyszę odpowiedź.

W oknach przydrożnych chałup, jak zwykle, jak wszędzie, widzę białe główki dzieci. Patrzą na drogę, jakby tą drogą miało ku ich izbom przyjąć szczęście. Tęsknotę widać w oczach. To znany mi widok. Gdziekolwiek włączę się po wsi, wszędzie patrzą te oczy dzieci. Dzisiaj inny może ich wyraz niż zimą, czy późną jesienią — dziś przecie wiosna. Wybiegły na drogi i pola. Gwarno zaczyna się w świecie robić. I San uwolnił się z lodów. Szumi...

Skręcamy na lewo.

Czas wolno się wlece, płynie jak woda Sanu: wciąż jednakowo, spokojnie.

Wieczorem jestem na miejscu.

— To tu? — pytam furmana.

— Tu.

Wiesz Żabno jest taką wsią, jak każda inna. Małe chałupy, błotnista droga i wąskie pola, ograniczone miedzami. Widać na pierwszy rzut oka, że bieda.

— Ha! — słyszę słowa — dawniej tu większa była bieda. Dziś się zmieniło trochę.

— Jakto, czy ziemi przybyło?

— Nie, ino... wiesz nasza biedna, gospodarstwa drobne, największe 4 ha, cała więc gospodarka wsi to hodowla. Od dawna już ludzie w naszej wsi żyją z krów. Krowa to dla nas główna podpora. Ale przed kilkunastu laty załamał się nasz dobrobyt...

Może to jednak i szczęście, bo w tym załamaniu ludzie znaleźli sposób na zaradzenie złu.

Dalej słyszę historię wspaniałą, której nie sposób do głębi nie przeżyć. Oto ona:

— Odwieczne prawo gromady powiada wyraźnie: „choć się pobijesz z sąsiadem, bacz, by w nieszczęściu mu pomóc. Dziś tobie, jutro mnie, bracie“! Nikt tego prawa na wsi nie pisze, nikt nie każe się go mechanicznie uczyć na pamięć. Żyje ono jednak tylko wśród ludzi naprawdę żywych, może ono kierować gromadą ludzką. Nie ujęte jest w kodeksy, przepisy ni paragrafy. Żyje. Ono to kazało gdzieś w Kraczkowej powołać do życia „Spółdzielnię budowlaną“, ono to kazało w Markowej wyrósć pierwszej w Polsce „Spółdzielni Zdrowia“ i ono tu, w Żabnie, zrodziło dziwną a najpiękniejszą rzecz: wzajemną pomoc.

— Cóż to takiego?

— Brak nazwy. Ludzie to w Żabnie nazywają „spółką“. Ale „to“ nie ma nic wspólnego z tym, co zwyczajnie ludzie pod spółką weszą. To nie handel, to nie interes, to... nawet nie organizacja! Jest takie „cosi“ na wsi, co ludzie tak nazwali. Inteligent musiałyby to nazwać: Spółka asekuracyjna dla pomocy na wypadek padnięcia bydła. W Żabnie tak tego nie nazywają. Najwyżej mówią: „nasza spółka“.

— Ot, jest cosi i tyle!

— Co?

— Oto w r. 1923 we wsi panowała epidemia. Padało bydło jedno po drugim. Choroba. Jaka? Ludzie w Żabnie mówią, że bydło chorowało „na racice“. Parę rodzin zrujnowała ta choroba. Padły krowy. Od chałupy do chałupy szły słowa: ludzie kochane, trzeba pomocy dla nieszczęśliwych! Wołanie to powtarzał każdy. Trzeba pomocy, ale jak pomóc? I oto umyślił se Józef Misa, że najlepiej będzie, gdy się wieś poskłada i zakupi krowy poszkodowanym. Tak uczyniono. Poszkodowani jednak musieli też dać składkę. Gromada się ratowała. Gdy minęła epidemia, przezorni gospodarze radzili: trza to utrzymać! Postanowiono więc, że każdy, kto chce być ubezpieczony, wpłacić musi 5 zł rocznie od sztuki bydłcej do kasy i 2 i pół zł jednorazowej składki. W razie nieszczęścia, za te pieniądze kupi się krowę poszkodowanemu. Nie upłynęło wiele, bo w r. 1930 znów wybuchła epidemia. Znów ratowano ludzi. Ale teraz już było z czego.

Od r. 1930 w Żabnie jest spokój. Roczne składki jednak napływają. Zebrało się około 3 tysiące zł. Zakupiono trochę narzędzi weterynaryjnych.

— Czyje to? — pytam.

— Nasze, wsiowe!

Gdy trzeba przywieźć weterynarza do wsi — są pieniądze. Każdy ma do nich prawo. Nikt jednak prawa tego nie nadwyręża. Szkoda, — mówią ludzie — to przecie nasze!

— A ostatnio nie było wypadku, by trzeba było kogo ratować?

— Owszem. Jest u nas taki niezaradny i biedny gospodarz, Jakub Fryk. Nie przystąpił do spółki. Nie chciał. Padła mu krowa. Niby „spółka“ nie powinna się według prawa nim zająć, ale ludzie na wsi rzekli: trza pomóc! I zakupiono Frykowi krowę.

Najwięcej kłopotu było jednak wówczas, gdy komuś we wsi skradziono krowę. Niby nie padła, a jednak jest poszkodowany. Co robić? A no, trza też pomóc. Według prawa to niby nie, ale gromada orzekła: tak! Skoro jednemu kupiono krowę, przy następnym wypadku nie było już rady. Zwyczaj już taki jest, by poszkodowanego z kradzieży też ratować.

— A czy nie nadużył ktoś we wsi tej spółki? Przypomniały mi się bowiem różne wypadki podpaień majątku dla uzyskania asekuracji.

— Ej, jakże by to wyglądało?

Oto moralność gromady. Z tej moralności płynie źródło prawa. Ono to, choć nie pisane — żyje w duszach ludzkich i każe myśleć o tym, że człowiek winien pomóc człowiekowi.

Do żabna przyjeżdżali różni ludzie, chcieli dowiedzieć się, na jakich zasadach działa „spółka“.

A kiedy poznali te zasady, doradzali chłopom, by ci ujęli dotychczasowe doświadczenie w statut, w jakąś formę organizacyjną.

Ale chłopci w Żabnie nie chcą się zgodzić na to. Nijak im się wydaje, by na papierze prawo pisane było lepsze od tego, które dyktuje serce, sumienie i rozum. Słyszą oni, że wszystko co się dzieje w świecie, jest w biurkach urzędników. Nie mogą nijak w Żabnie chłopci tego zrozumieć: po co? — pytają. Nie chcemy! Może by nam to odebrano?

— Wiele rzeczy dzieje się na wsi — mówi mi jeden chłop z Żabna — a o tych rzeczach nikt nie wie. I może tak najlepiej. Bo jak ino kto obcy weźmie naszą sprawę w garść, to ona już dla nas przepadła!

Ale innego zdania są inni ludzie. Zainteresowała się tą spółką władza.

Nielegalna organizacja i tyle!

Skoro chłopci zwiedzieli się, że ktoś ma zabrać ich „spółkę“ — przeszli do „podziemi“. Ktokolwiek obcy chciał się coś dowiedzieć o „spółce“ w Żabnie — słyszał od chłopów jedno: u nas nima żodny spółki. Dlatego nawet wycieczki, które tam przyjeżdżały, nic oglądać nie mogły.

Ale skończyło się. Wkroczyła w nielegalność władza i... „spółkę“ zawieszono, a pieniądze zamknięto pod klucz.

— No i co? — pytam, — cóż teraz?

I na to pytanie słyszę dosłowną odpowiedź:

— Mimo prawa my i tak będziemy sobie pomoc nieśli...

Wpatrzyłem się w człowieka, który wyrzekł te słowa. Stał spokojny i patrzył na San.

A San płynął spokojnie...

Dokąd?

Wiem, że stąd, z tarnobrzeskiego płynie, skądś z gór płynie Wisła. Płyną i inne rzeki. Wszystkie one spokojnie łączą się, zlewają i gdzieś tam, daleko, szumi potężne, nieznane, wielkie morze.

Stoję nad Sanem i myślę: czy ludzkie siły też muszą rodzić się gdzieś na szczytach, ruszać z każdą wiosną, omijać góry, łamać lody i szumieć śpiewem, by wreszcie zlać się w jedno potężne morze — w morze kultury człowieka? Czy wielkość i potęga morza też rodzi się z tego, że płyną wody?



II

CHŁOPI NAD SANEM

DOBRE jest myślami włóczyć się po świecie, z przeczytanych książek i gazet zobaczyć inne światy niż ten, w którym się żyje, przypatrzyć się ludziom i sprawom, które wkoło nas się dzieją — wtenczas człowiek znajdzie jakieś swoje patrzenie na świat i życie. Ale jeszcze lepiej jest wprost powędrować do ludzi, przypatrzyć się ich życiu, pogadać z nimi, a i różnością przyrody ucieszyć oczy, bo wówczas człowiek naprawdę tak szerzej popatrzy na świat, jak z jakiejś góry o wysokości Smereka, Rawki, czy Wetlińskiej Połoniny (1300 m. nad poziom morza). Po takich górach włóczyliśmy się w ubiegłym roku z wycieczką słuchaczek żeńskiego kursu Uniwersytetu Orkanowego w Gaci.

Świat, po którym wędrowaliśmy kilka dni, to nie ino przepastne góry karpackie, nie ino gołe połoniny, gęste bukowe lasy i urwiste, skaliste ścieżki górskie,

ale to gąszcz ludzki nieznany nie tylko ludziom z dolin, ale nikomu — to kawał Polski czującej po góralsku, mówiącej po rusku, przyznającej się do narodowości ukraińskiej, a nazywającej się Polakami. To Łemkowszczyzna...

Ciężkie dziś czasy, dlatego nie łatwo podróżować ludziom wsi. Już po zjeździe byłych słuchaczów: Szycaków i Gacaków, byliśmy przygotowani na to, że nigdzie nie pojedziemy. Brak pieniędzy! Ale oto zaczyna się rada: j e d n i d r u g i m p o m a g a j ą. Zosia Piątkówna, słuchaczka obecnego kursu, robi ruch: przekonywa, stara się i... wyjeżdżamy. Od samej Gaci, poprzez wszystkie wsie, lasy, góry, poprzez pas graniczny i w pociągu, wszędzie towarzyszyła nam nasza pieśń chłopska. Ona pozwalała nam zbliżyć się do ludzi, ona skupiała wkoło nas obcych i ona też była nam pokrzepieniem wtenczas, kiedy zmęczeni iść już nie mogliśmy. Raz ino musiała zamilczeć. Oto na stacji w Przeworsku, kiedy w duszy coś wezbrało, że chciało się zaśpiewać pieśń pożegnalną swoich okolic, krótko i oschle bufetowa na stacji orzekła: „tu nie karczma, nie wolno śpiewać!“ Przykre to, że u nas w Polsce tak czują ludzie wieś. Nie dziwimy się: to niektórzy, nad którymi wiszą rozporządzenia biurokratyczne, ogłoszenia we wszystkich językach, reklamy, niemiłosierne i wstrętne obrazki, nuda i... rozkłady jazdy. Pieśń chłopska nie ma tam miejsca!

W pociągu tłok i hałas. Chłopów nie widać. Poprzez przestrzenie, w góry, do czystego powietrza jadą kupcy i bogacze. Wieś ino raz widzieliśmy w Chyrowie. Przykucnęła oto jakaś kobiecina na uboczu peronu z dzieckiem, by na brudnej poduszczynie rozłożyć młode, nowe, półroczne życie i karmić

je piersią. Wkoło damy w sukniach, jakaś pani też z dzieckiem, ale z nią pielęgniarka, a obok księża. Pałace ich sterczą na przeciw stacji Chyrów, jak ironia urągająca tej kobiecie w kącie. Podchodzę do niej, bo byłem przekonany, że to wsiowa kobieta i pytam:

— Wy skąd?



— Oj, z daleka, z Lubelskiego! Sprzedaliśmy tam gospodarstwo i kupiliśmy 16 morgów na wschodzie, może tam będzie lepiej...

Łzy się cisną do oczu. Toć przecież polska gospodyni tera się po śmieciach peronowych! To nasza, polska nędza, to coś bliskiego, tak bardzo przypominającego te chwile, kiedy matka woziła mi „prowianty“ do szkół. Zdawało mi się, że to moja matka tak ślęczy w kąciuku świata, gdzie zgiełk, szum i różnojęzyczny tłum brzuchaczy jedzie w góry, by łykać zdrowe powietrze. Chodzę po peronie tam i z powrotem i opędzam się od myśli złych, robaczy-

wych, jak od much. Cała młodość i lata dziecięce widzę w śmieciach, boć przecież i mnie tak dawniej wozili matusia. Coraz gorsze, wstrętniejsze myśli tłoczą się do głowy. Odpędzam je, odrzucam, chcę chodzeniem, krokami, zagłuszyć ból wspomnienia. Nie mogę. Podchodzę do naszej gromadki, do Chrześtnego i nie wiem dlaczego, rzucam pytanie: czy nam wszystkim sił wystarczy na tę wycieczkę, czy wytrwamy?

Nie ma czasu na odpowiedź. Pociąg, jak jakiś ciągły pośpiech życiowy, zajeżdża na peron. Robi się ruch, każdy szuka dla siebie miejsca, każdy chce jechać w wygodzie. Stłopaczeni jak śledzie w naszej trzeciej klasie — jedziemy.

W Ustjanowej, gdzie odbywają się zawody szybowcowe, na które jutro mamy iść, nocujemy u popa rosyjskiego w stodole. Kiedy przed noclegiem i wieczrą idą się myć słuchaczki, my rozmawiamy z pastuchem księdza. Akurat właśnie zagania czerwone, polskie bydło.

— Ile też zarabiacie miesięcznie?

— Sześć złotych — pada odpowiedź.

Pop ma 160 morgów i ileś tam dusz wiernych, prawosławnych, w swoim gospodarstwie, nie licząc synów i córek.

Nad nami szumią szybowce. Dziwne to ptaki! Wydaje się człowiekowi, że oto ponad nami unosi się jak nietoperz — człowiek. Marzenie tysiącleci ludzkich, wysiłek i myśl Ikara sunie ponad nami w powietrzu lekko, bez huku, bez maszyny, a ino na skrzydłach, jak ptak. To człowiek dzisiejszy, któremu ino z dołu, z ziemi dają znaki, gdzie ma lądować: w prawo, czy w lewo. Wyznaczone bowiem są

miejsca do lądowania i tam ma opaść, gdzie jego cel, by napróżno nie stracił lotu.

Na drugi dzień dopiero dowiadujemy się, na czym polegają owe zawody. Chodzi o to, aby najwyżej się wzbić, najdalej polecieć i zawsze lądować na wyznaczonym miejscu. To tak jak w życiu!

I o dziwo! Wychodzi do nas major Bajan, on to bowiem jest kierownikiem tych zawodów — człowiek,



który chyba najdłużej jednorazowo przebywał w powietrzu, na skrzydłach dzisiejszej techniki — na aeroplanie. On to bowiem na międzynarodowych zawodach lotniczych uzyskał pierwsze miejsce. Jak powiadają: — „rozniośł imię Polski na skrzydłach po całym świecie“. Cały świat dziś wie o nim. Przychodzi do nas z uśmiechem i prostotą, jak zwyczajny człowiek. To już tak bywa: im wyżej ktoś wzleci ponad przeciętność, im wyższe pokona przestrzenie, tym prostszy jest w życiu. Tylko ludzie bez większej wartości są stale napuszeni.

Nasze słuchaczki od razu napadają na niego przyspiewką. Nie pamiętam jej, ale wiem, że była dowcipna, choć zawierała życzenie, żeby Bajan cały świat objął skrzydłami. Widać, że Bajan lubi pieśń. To nie tak, jak owa pani na stacji w Przeworsku. Wiadomo, im człowiek wyżej się wznosi, tym więcej kocha pieśń i śpiewanie.

— Czym ja Wam odśpiewam? — pyta Bajan z uśmiechem.

— Skrzydłami w powietrzu! — rzuca ktoś serdecznie.

— Dobrze! — obiecuje.

Rozmawiamy jeszcze o zawodach. Pytamy, jakie wrażenie miał, gdy brał udział w zawodach.

— Rozumiem — powiada Bajan — znaczenie państwowe takich zawodów, jak wówczas, ale nie rozumiem entuzjazmu ludzi.

W czasie rozmowy o tym dowiadujemy się, że Bajan leciał w czasie zawodów nad Gacią.

— Tam omal nie zawadziłem o lipę.

— To o Jackową lipę — ktoś z nas zauważa.

Gawędzimy, śmiejemy się, a nad nami szumią skrzydła szybowców.

W czasie dalszej rozmowy dowiadujemy się, że wśród tych, którzy odważyli się wznieść w powietrze na skrzydłach, jest i jedna chłopska córka — Marysia Wardasówna. To nas jeszcze bardziej zbliża.

Ale czas ucieka. Ze szczytu góry, z której startowały szybowce, ruszamy w stronę Karpat. W sinea dali ledwo widoczne rysują się góry. Deszcz nas ino

na chwilę zatrzymał. Mocny deszcz z grzmiotem i piorunami. Na przeciw piorunom, chmurom, na przeciw gór — z pieśnią chłopską idziemy na szczyty.

Po drodze lasy, skały, wieś. Ludzie pozdrawiają nas słowami:

— Sława Jezusu Chryste!

Zatrzymujemy się tu i ówdzie. Jest co zobaczyć: rosłe, wysmukłe lasy świerkowe, jodłowe, bukowe i rośli, rzetelni górale — Łemki. Nasze dziewczęta z każdym góralem zaczynają rozmowę, podziwiają cudownie wyszywane, lniane koszule. Pytają o cenę takiej koszuli:

— Dwanasiat złotych, ale toliko dla swoich.

— Dlaczego? — pytamy.

Odpowiada, że w takim stroju tylko oni chodzą. On jest ich, więc dla siebie tylko go robią.

— A czy sami to robicie?

— Niet! — Okazuje się, że jest tu kooperatywa, która wyrabia te odzienia.

— Czy to może spółdzielnia? — zapytuję.

Rozmówca mój nie bardzo mnie rozumie. Tłumaczę mu więc, że chodzi mi o to, czy to jest spółdzielnia zarejestrowana, czy ma statut (w duchu se myślę: ze statutem takim wartoby zapoznać nasze wieś w dolinach), czy wszyscy do niej należą.

— Ot taki, taki! (Łemki mówią dziwnym językiem: pół ukraińskim, pół polskim, rosyjskim i jakimś staro-słowiańskim).

Baby zbierają się w jednym domu. Wieczorami przędą, a później tkają i szyją.

— A kto tka?

— Warsztat to my kupili wspólnie. A jedną dziewczynę my wyuczyli, ona była biedna, to teraz tka i zarabia.

Tak samo sprawa przedstawia się z szyciem ubrania.

Chcę koniecznie zobaczyć statut takiej spółdzielni. Zaczynam więc na nowo:

— A możnaby zobaczyć statut tej waszej kooperatywy?

Nie rozumie jednak, co to statut. Tłumaczę więc, że są to pewne przepisy z góry umówione, według których kieruje się spółdzielnia. W odpowiedzi na to słyszę:

— Nie, u nas tak po swojemu, bez prawa!

Chciałem jeszcze na ten temat rozmawiać, ale wycieczka już się oddaliła. Żegnam więc rozmówcę i pędzę, by dogonić własną gromadę.

Mijamy jedną wieś, drugą, trzecią... Wszędzie pod jednym dachem, pod krytą słomą strzechą: izba, stajnia i stodoła — razem. Nędza wygląda ze strzech, połamana, dulczy w płotach, rozpaczliwie konających w błocie, wygląda ciekawymi oczami obdarych dzieci z poza płotów patrzących na dziwne zjawiska: na gromadkę ludzi obcych, a jakoś bliskich, boć przecież z takich samych chałup, ino że z dolin, z całej Polski. A Polskę tu widzą górale dziwną: przedstawia się ona im jako dwór, ksiądz, pan, za-

konnice i żyd bogaty. Nie ma dziwoty! Na całej Łemkowszczyźnie, w każdej okolicy, a nawet wsi, są dwory w których siedzą Polacy. Chłopi — Łemki, mówią po swojemu, swoim językiem, mają swoją kulturę, dlatego wydaje się im, że oni a Polska to dwie różne rzeczy, bowiem Polskę widzą ino we dworach. Niektórzy panowie w tych dworach, to nawet gościnni ludzie, jak np. w Teleśnicy, gdzie nocowaliśmy. Ale o dziwo! Kiedy rano ruszaliśmy z Teleśnicy, już chłopi krzywo na nas patrzyli. Wydało się im, że my z takich samych jak ci ze dwora.

Prócz panów we dworach, spotkaliśmy i dwór inny, własność zakonnic. Posiadają olbrzymie przestrzenie ziemi w Rajskim, Wetlinie, na Wetlińskiej Połoninie itd. A obok gospodarstwa: 1, 2, 3, a najwyżej 5 morgowe. Nędza okropna. Nędza ta ratuje się wypasaniem krów i wołów na połoninach, będących własnością albo dworów, albo zakonnic. Za to, że może chłop paść krowę na połoninie — musi dać do dworu: jedną kurę, jeden dzień roboty, odrobić całkowicie od wiosny do jesieni 1 morgę ziemi i dopłacić w gotówce 10 — 15 złotych.

— Czy wam się to opłaci? — pytam.

— Oj, nie opłaci się, panoczku, nie! Dlatego też my teraz chcemy mieć własną połoninę.

— Jak to zrobicie?

— Dwie wsie: Zawoja i Łuch od 3 lat opodatkowały się, zbierają pieniądze, by móc wykupić jedną część Wetlińskiej Połoniny.

— I kiedy wykupicie? — pytam z ciekawością.

— Za dwa lata!

— A później?

— Wspólnie już będziemy pasać tam za darmo.

Ciężkie i twarde jest życie górali — Łemków. Nie dziwię się teraz, że kiedy przychodzą nacjonaściści ukraińscy do Łemków, ci idą z nimi. W każdej wsi widać kooperatywę, czuć, że ktoś tam coś robi na wsi, wśród której sterczy dumny dwór, symbol Polski. Łatwa jest robota ukraińców-nacjonalistów w zjednywaniu sobie mas chłopskich. Trudna zaczyna się dopiero wtedy, gdy znów do nich przychodzi Polska — tym razem w postaci policjanta. Oto opowiadają chłopci w Zawaju, że była tam u nich nauczycielka:

— Ot, dało się jej izbę, chleba, żeby tak wyżyła między nami i uczyła.

— Czego? — pytam.

— Czytały, pisały i... nie dokończył. Popatrzył podejrzliwie i urwał zdanie.

— No i co?

— I policjanty ją zabrały.

— Dlaczego?

Ruszyli chłopci ramionami, jakby o niczym nie wiedzieli. Ale wiadomo o co chodziło: to była działaczka ukraińska.

Otworzyły się nam oczy: z chłopami na Łemkow-szczyźnie dogadać się można po polsku, ale nie poprzez dwór, policję czy żyda (bo ci tam też są przedstawicielami polskości, jak np. ten w Łuchu), tylko po naszemu: chłop z chłopem.

Po co? jak?

W Wetlinie zacząłem rozmawiać z gromadką Łemków. Opowiedziałem im, że wycieczka nasza to

nie jest żadna wycieczka „pańska“, ale chłopska, złożona z synów i córek wsi nizinnej. Wzbudziło to od razu większe zaufanie. Mówili śmieiej, jaśniej i prościej. Jakoś już tak jest, że jednakie położenie chłopów na całym świecie czyni ich bliskimi sobie. Dlatego skoro istnieje coś w rodzaju spółdzielni, czy spółki na wsi, ma ono zawsze charakter raczej rodzinny, nie urzędowy. W Wetlinie jest np. taka sytuacja, że cała wieś zbiera jagody w lesie i choć las jest podzielony, każdy chłop ma swą działkę, to jednak każdy może zbierać jagody wszędzie, bo idą one do wspólnych kosztów na sprzedaż, a dochodem dzielą się równo. Mają do siebie zaufanie. Rzecz ta jest ważna i w spółdzielniach wyżej zorganizowanych. Skoro spółdzielnię prowadzi chłop — wieś ma do tej spółdzielni zaufanie. O tym także powinni na każdym kroku pamiętać spółdzielcy i z niego wyciągać odpowiednie wnioski. W spółdzielniach, jakie spotykałem na Łemkowszczyźnie, wszędzie nadzór i zarząd spoczywał w ręku chłopów. Dlatego spółdzielczość tam się rozwija. Byłem w paru kooperatywach. W jednej z nich nad drzwiami wielki napis: „O d n o m u i w r a j u n u d n o!“

— Skąd wzięliście to zdanie? — pytam.

— Ot, to jest zdanie stare jak świat!

— ?

— My tu już tak żyjemy, że sam człowiek nie dałby rady. Dlatego nawet wolny czas razem wolimy spędzać.

I rzeczywiście. Wieczorem, na podwórzu jednego domu zebrała się grupka młodzieży. Rozległ się tęskny, gorzki śpiew. Wędrował on w przestrzeni, jakby się skarżył, żalił i błagał. Szedł ku niebiosom — na szczyty!

Jak wieczne prawo gromady, jak ciągła wędrówka człowieka za nowym, lepszym życiem, tak śpiew ten szedł w świat. Jego drogami szła i nasza gromada.

Szliśmy na szczyt najwyższy, na Smerek.

Wkoło nas były lasy. Potężne przestrzenie lasów szumiących przeciągle i rosnących prosto w słońce. Wśród lasów tu i ówdzie skulona wieś podartymi strzechami patrzy w słońce. Szły z lasów jakieś dziwne, nieznane pomruki. Groźne one są i silne. Czasem wdarł się w nie śpiew pastuszy. Nieznany to śpiew, idący z piersi człowieka w świat szeroki, odbijający się echem wśród lasów, rozbijający się o skały, urwiska i ginący het, w przestworzach. Wiem, że przyjdzie kiedyś jakiś profesor, zanotuje te nuty w notesie, a może i słowa zapisze, opíše również Łemków, ich stroje i... potem wydrukuje książeczkę o polskim ludzie. I tyle będzie znał świat polskiego chłopą, ile wyczyta z tej książeczki.

A tam, na Łemkowszczyźnie, jak w całej Polsce, zostaną lasy, rzeki, wsie, ludzie, dwory, kościoły i wśród tego wszystkiego nędza chłopska. Nędza, z której na każdym kroku chłop szuka wyjścia, jak my szukamy ścieżki na szczyt najwyższy Smereka.

Aż zbierze się wieś, by zdobyć szczyt najwyższy!

Szliśmy już parę godzin. Zdawało się, że to tak blisko, że jeszcze parę kroków, a już będziemy u celu. A tu tak jak w życiu gromady: coraz to nowe ścieżki, coraz to nowe widoki, coraz to nowy trud. Słabli niektórzy. Braliśmy ich w gromadę i razem, wciąż razem szliśmy dalej. Jeden drugiemu brał ciężar z pleców, jeden drugiemu pożyczał laski dla podpory, jeden drugiego weselił żartem, śmiechem.

Coraz bliżej słońca...

Aż zaszumiał wicher, zatrzepotały nasze odzienia niby sztandary.

Stanęliśmy na pierwszym szczycie.

Ale nikt nie myślał o wypoczynku, ani o trudzie przebytu. Oczy wszystkich, a z nimi myśl poszła daleko w świat szeroki. U naszych stóp widniała przeszłość nasza: pokurczone wsie, dwory rozpierające się dumnie i owe ścieżki wijące się jak smugi naszego trudu. Ale to mało. Ze szczytu Smereka zobaczyliśmy dopiero przyszłość naszą: nowe drogi, nowe wsie i nowe szczyty!

Drugiego dnia, gdyśmy wdrapali się na wyższy szczyt, na R a w k ę, świat się nam jeszcze rozszerzył. Przed nami, u naszych stóp stały maleńkie słupki graniczne: po jednej stronie Czechy, po drugiej — Polska. Chciało się wrzasnąć wówczas na cały świat: nie drzyjcie nas na strzępy, bo przecież po tamtej stronie te same lasy, to samo powietrze i słońce, te same wody i te same dwory, kościoły i wsie, a wśród nich śpiew i nędza wałęsająca się od chałupy do chałupy, jak ów dym z kominów!

Na pasie granicznym spotkaliśmy któregoś dnia człowieka. Był to chłop niczyj. Władze polskie i czeskie wypędziły go ze swoich granic za to, że jego przekonania nie pasują do ustroju ani Czech, ani Polski. To też niczyj Wasyl zamieszkał od paru miesięcy na pasie granicznym, w lesie, gdzie ino z dolin żona przynosiła mu jeść.

I jeszcze jedna rzecz. Spotykamy ludzi. Jedni z tamtej strony, drudzy z naszej.

— Gdzie lepiej? — pytamy.

— Wsio bieda jednaka — pada odpowiedź.

I dlatego może tak potężną wydała się nam pieśń, którą zaśpiewaliśmy na granicy.

„wichrze na falach swoich nieś
me pozdrowienie ciche stąd,
w uboczach pozdrów każdy kwiat
i ludzi z w s z y s t k i c h wsiowych chat“.

...Gdziekolwiek oni by nie byli, w Polsce, Czechach, Rosji, we Włoszech, Ameryce, Chinach — wszędzie, gdzie płata się chłopska udręka i chłopski głód.

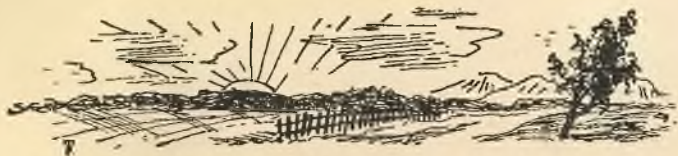
Z taką pieśnią i z takimi myślami szliśmy ze szczytów w doliny, do Polski.

Szemrał las, w słońcu przeżyły się góry — mocarze i znów obok nas, na naszej drodze, dziwnie tajemniczo a groźnie pieniał się buntem San.

Położył się obok nas i prowadził swym szumem ku nowej Polsce, wyśnionej na szczytach, ku tej Polsce, która nas kiedyś przywita radośnie słowami: jesteście wszyscy jedną rodziną, jedną gromadą!

Po takich drogach wędruje wieś dzisiejsza!





WIOSNA I PIEŚŃ

TYLE miesiące! — całą zimę świat spał. Ośnieżone chałupy oddzieliły się od siebie zaspami, człowiek zamykał się w izbie, a poza drzwiami ino wiatr wiał i trzeszczał mróz. O takiej porze człowiek zostaje we własnej izbie z własnymi troskami, i jakieś dziwne przygnębienie osiada wraz z nim w chałupie. Nikomu wówczas nie chce się śpiewać. Co najwyżej gdzieś w zapusty zagra muzyka, roztańczą się ludzie w izbie, ale to już nie jest takie wesele jak latem, gdy przestrzeń, woń i radość rozpiera człowieka. Co najwyżej w dni zimowe rozkołysze się świat kolędą, ale choć ona jest niby radosna — ma dziwny w sobie smutek. To świat tak ludzkie dusze nastraja, to zima, mróz i zawieje śpiewają tak jak człowiek. Dusza człowieka jest tak bardzo zależna od przyrody, że nawet w najbrzydszą porę roku, w marcowe dni wybrała czas, by opła-

kiwać Mękę Chrystusa. Ta pora najbardziej nastroja człowieka do pieśni: „Ludu mój, ludu, cóżem ci uczynił?“... Ale też pora ta ma w sobie najwięcej nadziei, wyczekiwania, tęsknoty i pragnienia jasności, słońca i dobroci.

Dlatego niech ino przeminą mrozy, niech ino śniegi opadną z gór i dolin, niech ino słońce jaśniej zaświeci, zaraz i w duszy robi się raźniej. Człowiek wychodzi z chałupy, rozgląda się po świecie, widzi budzące się życie, czuje zapach świeżej ziemi, słyszy pierwszy śpiew ptaków i w duszy jego zbiera dziwna radość.

Dzieci wybiegają na błonia i gościńce, kobiety dłużej zatrzymują się przy studniach, radzą, a gospodarze wychodzą w pola i rozglądają się wokół...

Zwróćcie wszyscy uwagę, że serce człowieka zaczyna szybciej bić, nozdrza wchłaniają zapach ziemi, krew zda się szybciej krążyć i w duszy rodzi się chęć wydania z siebie radosnych okrzyków. Chce się człowiekowi wówczas, tak ino od niechcienia, jakby dla siebie tylko, wyśpiewać tę radość, co wewnątrz zbiera.

Taki stan człowieka to znak, że w nim poczyną się pieśni.

W takim stanie poeci siadają z piórami do wierszy, muzycy chwytają za skrzypce, a na szerokie pola wychodzą malarze, by świat radosny na płótnie utrwalić.

Tak rodzi się sztuka.

I czy ona będzie nieść z sobą troski o to, jak nowy budzący się świat obsiać nową myślą, niby zbożem, czy ona będzie wyrażać tęsknotę za lepszym ży-

ciem, za słońcem, czy też będzie wielbić nowe poczynania, nowy, rodzący się po zimie wiosenny świat — zawsze w niej będzie jedno: wiosna!

Sztuka bowiem jest niczym innym, jak tylko usiłowaniem człowieka, aby utrwalić, podchwycić i przekazać światu najwyższe uniesienia ducha: tragiczne, spokojne, czy radosne. Człowiek od samego początku swych dziejów, już od tej chwili, kiedy zamieszkał jaskinie, a nawet wcześniej — uniesienia swoje, smutki, radości i bóle dźwiękami wyrażał. Chciał w ten sposób własne przeżycia, które dawało mu życie z przyrodą, przekazać innym ludziom i nowym pokoleniom. A nowe pokolenia powtarzały te dźwięki, ulepszały je, rozszerzały, czyniły piękniejszymi i w ten sposób poprzez wieki wraz z człowiekiem szła pieśń.

Po cóż nam ona? — spyta może niejeden człowiek na wsi.

Zamiast odpowiedzi, rzucę mu inne pytanie:

Po cóż, człowieku, śpiewasz?

Śpiewa się po to, by oderwać się od trosk codziennych, by odejść od szarzyzny życiowej, by wznieść się wyżej, ponad przeciętność.

Po co?

Po to, że tylko ten człowiek, który potrafi czasem wznieść swoją duszę ponad przeciętność, wzbudzi w sobie pragnienie lepszego życia. I będzie robił wszystko, aby uczynić lepszym świat. Urojone często myśli, fantazja i poezja, stają się konkretnymi faktami. Wielcy wynalazcy, bohaterowie, ludzie, którzy wyszli z nędzy, a dorobili się majątków —

to przecie poeci, którzy najpierw śnili, marzyli o tym do czego później doszli.

Pieśń jest fantazją, snem, urojeniem, w niej życie pokazuje się nie naprawdę, ale naumyślnie, i dlatego ona wcześniej budzi w człowieku pragnienia, jak wiosna. A kto raz zbudził w sobie jakieś pragnienia — ten dąży do ich urzeczywistnienia.

Jeśli mam mówić szczerze, to powiem jedno: ile razy myślę o tym, dlaczego dotąd wieś polska jest na szarym końcu, dlaczego w umiejętności życia wyprzedziły ją inne warstwy — to zawsze jako odpowiedź nasuwa mi się jedna uwaga: bo wieś nie miała wielkich zrywów, wielkich pieśni, które by ją rzuciły ku wielkim czynom. Kto w pięknie się rozkocha — ten do piękna dąży. Powiadają niektórzy, że wieś czechosłowacką czy duńską zorganizowała pieśń. Niech spotka się dwóch lub trzech Czechów, Duńczyków, czy Ukraińców — od razu zaczynają śpiewać. Łączą się w pieśni i śpiewają pięknie. Znają oni własne pieśni, dlatego znają swoje siły, wierzą w nie i tworzą potężne rzeczy.

Ale po co szukać przykładów tak daleko? Przecież kto bacznie obserwuje życie własnej wsi, ten zauważył, jak inni są ludzie którzy śpiewają, którzy rozmiłowali się w pięknie, od ludzi tzw. mruków, którzy tylko spodełba patrzą na wszystko i na wszystkich. Taki „mruk“ oddziela się zwyczajnie od gromady, jest egoistą, sobkiem i na pewno, choć całymi dniami łązi koło gospodarki, nie będzie znać jego pracy. W chałupie u takiego brudno, w polu znać zaniedbanie, w żadnej organizacji go nie widać, niczym się sam nie cieszy, innym zatruwa życie i żyje z dnia na dzień jak nie boskie stworzenie.

A jak inaczej wygląda człowiek, który lubi posłuchać muzyki, który cieszy się z pieśni młodzieży, który i sam zanuci czasem i innym nucić pozwoli. Człowiek taki na każdym kroku okaże bliźniemu serce, idzie zawsze tam gdzie gromada i czuje w sobie jakieś zrywy do tworzenia lepszego życia.

Pieśni nam na wsi polskiej więcej potrzeba!

Niech się rospiewa młodzież i niechaj pieśnią raduje starszych!

Niech spośród chłopów, z młodego pokolenia wsi wyrosną ludzie, którzy zatęsknią za innym życiem, których pobudzi wiosna do śpiewu!

Pieśń rodzi się tylko wówczas, gdy w duszy człowieka odezwie się tęsknota, ból, smutek czy radość. A rzeczy te rodzą się tylko w duszy ludzi żywych. Mruk, niedołęga lub matoł nigdy się niczym nie wzruszy, dla niego wciąż będzie wszystko obojętne. Nawet wiosna. Utyłłany i ubabrany zawsze nawet nie zwróci uwagi na to, że trza się garnać ku nowym siewom, ku nowym pracom, ku nowej wsi i ku Nowej Polsce.

Jak z wiosną ożywa dusza człowieka, tak ożywa ona i z pieśnią zrodzoną z wiosny. Dlatego kto bacznie śledzi życie dzisiejszej wsi — ten zauważy, że wieś polska przeżywa wiosnę. Zahukana dotąd, zakrzyczana i przygnieciona, jak ziemia śniegiem w czas zimy, budzi się z zaspania, dźwiga się i prostuje. Dlatego też i po wsiach dzisiaj, zwłaszcza wśród młodego pokolenia chłopskiego, coraz częściej słyszy się pięknie śpiewane pieśni. Te pieśni odrywają młodzież od karczmy, te pieśni wkładają książ-

kę do ręki, one to nie pozwalają na bójki w czasie wesela, one łączą ludzi młodych.

A najpiękniejsze pieśni rodzą się z wiosną.

W polskiej wsi dzisiaj nareszcie ma się ku wiosnie!





PIEŚŃ TOPOLI

NAD samym brzegiem, tam, gdzie o granice pól nadwodziańskich trącają fale starej, od wieków płynącej tędy Wisły — stała samotna, wyniosła, poważna i rozłożysta topola. Ludzie w Nadwodziu mówili, że topola ta z roku na rok zbliża się do Wisły, że jeszcze kiedyś, przed dziesiątkami lat, gdy ojce naszych ojców tu gospodarzyli, topola ta stała od brzegów daleko. Dlatego szerszy był oddech pól nadwodziańskich i więcej ziemi szumiało zbożami i lepiej było na świecie. Dziś, czy Wisła wgryzała się w pola, czy ziemia szła ku Wiśle, tego nikt nie mógł odgadnąć. W każdym razie z roku na rok zwężały się pola, ginęła ziemia, coraz bliżej wsi szumiała Wisła, płynąca w zaświaty, w nieznane, do nikąd i — coraz bliżej fal sterczały stare, potężne konary topoli.

Kiedy na wiosnę lub w lecie wyszło się w pola, nad Wisłę, wyraźnie słyszać było pieśń topoli. Dziw-

na to była pieśń — potężnego smutku pieśń, samotności zamkniętej przestrzeni. Rodziła się ona gdzieś w ziemi, szła od korzeni poprzez wikliny i zakwitała potęgą w konarach topoli. Szumiała groźnie. A gdy jesienią liście złociste, jak ptaki nieznanne leciały wolno ku ziemi — topola z dumą patrzyła w słońce. Znać było, że się nie wstydzi, ani nie boi własnej nagości. Wówczas jednak wpierała się mocniej w ziemię i korzeniami, jak ramionami opłotła brzegi Wisły. Mówili ludzie w Nadwodziu:

— O, będzie zima silna. Liście topoli wcześniej opadły!

— Nie, to nie zima, to ciężkie czasy nadchodzą — mówił najstarszy we wsi człowiek, Drzazga.

— Dlaczego? — pytali inni.

— Ile razy topola wcześniej nagością zaświeci, ile razy zanedto zbliży się do fal groźnej Wisły, tyle razy nieszczęścia znaczą się światu!

Ale nikt sobie nigdy z gadań Drzazgi nic nie robił. Wiedzieli przecież wszyscy, że od lat dawnych stoi nad Wisłą topola i, że na ludzkie życie żadnego nie ma wpływu.

— Czasy, mówicie, ciężkie idą? — pytał Pikula.

— Ha, nie inaczej, one idą...

— Toż nie topola prowadzi je ku nam, nie Wisła, nie wiatr i nie słońce, lecz...

— Kto?

— Ludzie!

Niektórzy jednak wierzyli Drzazdze. Widzieli przecież, że z roku na rok ku ich wsi zbliża się Wisła, że z roku na rok coraz mniej ziemi ludziom zostaje i gorzej jest na wsi.

— Coś wspólnego muszą mieć z sobą te czasy i topola!

— Zginie wieś i zginą chłopi, kiedy korzeniom topoli zabraknie ziemi, kiedy zanurzą się w Wiśle!

— O, jeszcze długo trza na to czekać. A kiedy nawet topola zginie, jej konary w Wiśle utoną, to Wisła szumieć nam będzie tak, jak topola dzisiaj!

— Nie zginie wieś, dokąd szum groźny topoli czy Wisły od brzegów, od granic pól nadwodziańskich będzie szedł dumnie w szeroki świat!

Takie mądrości mówili u nas ludzie w Nadwozniu i dlatego patrzyli wciąż w topolę i wsłuchiwali się w szum Wsły. A kiedy młodzi śpiewali na błoniach, zawsze w tych śpiewkach była topola i Wisła. Kiedyś znudziły się nam już wszystkie zabawy. Wówczas Wawrzek wynalazł nową: miała to być zabawa „w topolę“. Stanął jeden z nas nad brzegiem rowu i szumiał śpiewem, zbliżając się wciąż do wody, a myśmy kołem otoczyli „topolę“ i śpiewaliśmy za nim. „Topola“ miała odgadnąć, który z gromadki nie śpiewa. Gdy nie zgadła, musiała wejść do wody. A gdy zgadła, ten co nie śpiewał wlaził do rowu. Wówczas śmiech szczery rozlegał się po błoniach, a Wawrzek jedno powtarzał:

— Jak ze wszystkimi śpiewać nie będziesz, pójdiesz do rowu!

Starsi patrzyli często na tę zabawę i podziwiali naszą wesołość. Raz ino przykrość po tej zabawie mieliśmy wielką: oto któregoś dnia Wawrzek wejść musiał do wody. Ujrzała to jego matka, z krzykiem okropnym przypadła do nas i rozpędziła nas wszystkich, wołając: „już nie możecie innej zabawy wynaleźć, ino ubranie moczyć?!“ Rozbiegliśmy się

i nie wróciliśmy już nigdy do „topoli“. Inne już śpiewki i inne zabawy niosły się odtąd po naszych błoniach przez długie lata.

Aż któregoś dnia, po wielu latach, wróciliśmy znów wszyscy z Nadwodzia do pieśni o „topoli“. Ale było to już wówczas, gdy ja, z którejś tam klasy student, przybyłem do wsi, by u rodziny spędzić wakacje.

Biedę zastałem w domu wielką. Podobna bieda hulała w całym Nadwodziu. Ludzie po żniwach ostatnie kłosa młócili w stodołach, by jutro albo pojutrze wywieźć na jarmark. Egzekutorzy, o których cicho było przez żniwa, znów zawitali na wieś. Smutek i opuszczenie znać było wszędzie. Jakos na błoniach mniej już śpiewały dzieci, a smutne ich oczy błagały ino o jedno: „chieba!“ Wśród gospodarzy nie słychać było radosnych śmiechów, lecz słowa ciężkie, jak młoty, padały często: „kryzys“. Noce zastygły w ciszy. Nie słychać było grania ni śpiewu, ino mgły dziwne plątały się wokół płotów i pól niby włóczęgi. Po długich deszczach wezbrała Wisła i tylko szum jej przeciągły zagłuszał ciszę nocy. Śpiewała ona o ludzkiej biedzie pieśni, jakich dotąd nikt nie znał w Nadwodziu. Ludzie, jak nigdy dotąd, opuszczali ręce, patrzyli smutno po polach i pocieszali się jednym westchnieniem: „ha! ciężkie czasy“.

— Ludzie kochani, a dy widzicie? — przemówił Drzazga któregoś dnia, a dy widzicie?! Topola ledwo już trzyma się ziemi...

I rzeczywiście. Gdy wody Wisły opadły, ujrzeli ludzie z Nadwodzia, jak tuż nad brzegiem, nad samą wodą pochyliła się stara topola, a tylko dwa, czy

trzy grubaśne korzenie zwarły ją z ziemią i rozpaczliwie trzymały. Naprawdę straszny to był widok. Tyle lat prosto rosnąca w słońcu, pochyliła się teraz nad wodą i tylko czeka zatrąty. Jeszcze korzenie ostatkiem sił ją ciągną ku ziemi, jeszcze się jeden z nich wsparł barami o brzeg i jak chłop tęgi napiął muskuły. Ale ziemia usuwa się mu spod nóg, wyrwa robi się coraz większa, złośliwe fale wgryzają się w ziemię i rozpacz straszna, jak ruina, otwarła oczy szeroko i patrzy w świat cały: ratunku!



Runęła mocniejsza fala. Trzask ogromny i głuchy łomot, a potem szum przeciągły rozległ się ponad brzegiem, nad granicami pól nadwodziańskich. Wybiegli ludzie z chałup, zlecieli inni z łąk, pól i lasów i stanęli w gromadzie nad brzegiem Wisły. Ponuro szemrały fale — cicho wiozła się stara topola po wodzie w zaświaty nieznane. A kiedy gdzieś na zakręcie znikła już z oczu gromady, nagle krzyk straszny, przerażający runął z nad brzegu:

— Ra-a-tunku-u-u...!!!

Rozwarła się gromada. W środku stał stary Drzazga w koszuli zgrzebnej, rozpiętej pod szyją,

włosy na wiatr rozpuścił, oczy wzniosł w słońce ku niebu i lewą ręką położył na sercu.

— Ra-a-tunku! — wrzasnął raz jeszcze i runął na ziemię.

Podbiegło do niego kilku chłopów. Jakaś kobieta zaczęła targać nim i wołać: „wody!“. Dźwignęli go ludzie. Miał oczy rozwarte szeroko, a z ust płynęła cienka struga krwi...

Szmer przeszedł tłumem:

— Nie wytrzymał.

— Pękło mu serce.

— U-u-marł.

— Ludzie kochane, a dyć to jego pole podmyła woda!

— Runie ona teraz na inne pola, na całe Nadwodie, na wieś...

— Na Polskę całą.

— Tamy budować!

— Zatrzymać!!!

Sąsiedzi zanieśli na rękach Drzazgę do domu. Na trzeci dzień wyszła wieś cała na pogrzeb. Za prostym wozem szedł tłum ponury, śpiewając pieśń żałobną. Jasny rozłożył się gościniec od domu Drzazgi na cmentarz.

Gdy w kilka lat po tym wypadku przybyłem znów do Nadwodia, zdziwiła mnie wielce jedna rzecz: tam, gdzie stała dawniej topola, teraz tama szeroka i wał potężny zamknął szumiące fale. Na próżno weń biją, na próżno wgryzają się w brzegi, szum ich jeno i plusk rozlega się w ciszy. Płyną spokojnie tam, gdzie wieś im płynąć kazała!

A gdy wieczorem usiadłem koło chałupy na lawie, skądś z pól dalekich doleciał mnie dziwny

śpiew. To pastuch konie pasący na łąkach śpiewał piosenkę dziwną, której słów długo zrozumieć nie mogłem. Nie było bowiem w niej słów zwyczajnych, takich, jakie dzień cały słyszałem w Nadwodziu. Nie było w niej ni słowa „bieda“, „kryzys“, ni „nędza“, lecz powtarzało się wciąż tylko jedno: „topola“. Kiedy się w słowo to wsłuchał przez chwilę, zrozumiałem tę pieśń, która się u nas zrodziła w Nadwodziu.

Była to „pieśń topoli“.

Lecz pieśni tej nikt prócz nas, ludzi z Nadwodzia, nie będzie mógł zrozumieć. Dlatego na próżno uczeni i mędrcy zjeżdżają do nas, na próżno na białych papierach spisują nutę tej pieśni, na próżno ktoś w dalekich miastach zachwycał się nią. Niezrozumiała ona zostanie dla ludzi dotąd, dokąd się szumu Wisły, gawędy drzewa i prostych słów nie nauczą. Bo w prostych słowach, choć o topoli się śpiewa, to jednak każdy wie w Nadwodziu, iż jest to śpiewka ludzkiej doli. Bo choć w prostych słowach mówisz „topola“, każdy wie przecież, iż o niedoli śpiewasz.



SPIS RZECZY:

	Str.
Wstęp	3
Na wiejskich drogach	9
Słoneczna droga	17
Teatr w Markowej	25
Muzeum i nowa pieśń	39
Śmierć Maryny	45
Nasze zdrowie	53
Minione spory	61
Twórcze Podhale	67
Z dolin na szczyty	73
Tragiczna pieśń tworzenia	81
Ludzie idący sami...	93
Samotnik i pierony (czyli o filozofii ludzi rolnych)	99
I. Chłopi nad Sanem	111
II. Chłopi nad Sanem	119
Wiosna i pieśń	133
Pieśń topoli	139

KSIĄŻKI TEGOŻ AUTORA:

K o l o r o w e S ł o w a — poezje — Po konfiskacie nakład drugi. Nakładem Zw. Młodz. Wiej. Kraków 1932 r.

K u m a c — poemat — rzecz o Wojciechu Bartoszu Głowackim. Nakładem Domu Ludowego „Wisła“, Kraków 1935 r.

F o r n a l e — nowy poemat wsi — drugi nakład, po konfiskacie. Nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Prasa chłopska“ Łódź 1937 r.

E u g e n i u s z a B i e l e n i n a i W. S k u z y — scenariusz filmowy **P a n e u r o p a**, nagrodzony w r. 1935 na „Wielkim Konkursie Filmowym“ „Światowida“.

w druku:

I d e a w z a j e m n e j p o m o c y w k u l t u r z e l u d o w e j — studium. Nakładem Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń Wzajemnych, Warszawa.

I d e a s p ó ł d z i e l c z a w k u l t u r z e l u d o w e j — studium. Nakładem Biblioteki Wiedzy Spółdzielczej, Warszawa.

C h a ł u p a i S t r a g a n — studium o zagadnieniu żydowskim w Polsce. Nakładem autora.

w przygotowaniu:

J ó z e k D ą b — powieść o życiu wiejskiego działacza, oparta na życiu ś. p. J. Dąbrowskiego.

D o m n a k r e d y c i e — dramat.

P o e m a t o w s i p o w o j e n n e j.

A r t y s t a w ś r o d o w i s k u w i e j s k i m — studium.